



4

Rok XVI

(793)

CENA 1.50 ZŁ

28. 1. 73



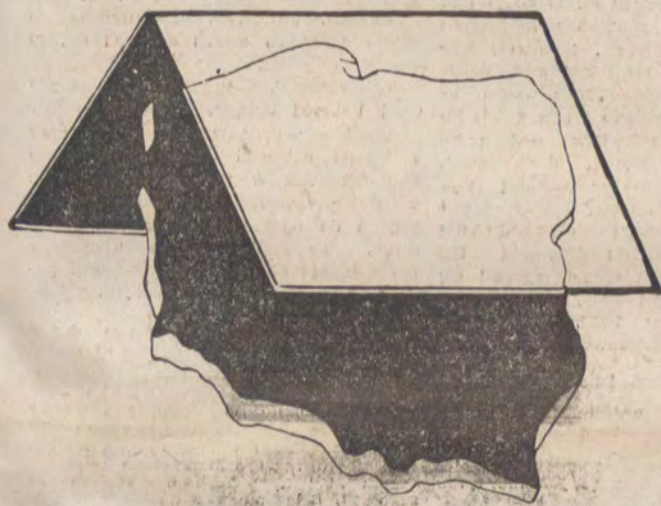
ROZŁĄKA

O ARTURZE GROTTGERZE
CZYTAJ NA STRONIE 8

OD GŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Mieszkanie w spółdzielni



ROZMOWA W TRAMWAJU:

- Zapisalem się do spółdzielni mieszkaniowej.
- I co?

- Wziąłem pożyczkę w fabryce.
- Tak, ale kiedy obiecali ci dać mieszkanie?
- Za dziesięć lat.

ROZMOWA W BIURZE:

- Byłem wczoraj w spółdzielni.
- Są jakieś nadzieje?
- Nie bardzo. Teraz dają tym z wyburzeń.

Obiecali dać na początku przyszłego roku.

MIESZKANIE DLA OKOŁO 120 tys. ŁODZIAN JEST PROBLEMEM NR 1. Termin otrzymania mieszkania decyduje o wielu życiowych sprawach.

Do prezesa jednej z łódzkich spółdzielni mieszkaniowych przyszedł mężczyzna, od lat będący

członkiem tej spółdzielni i oświadczył, że ma już dziecko.

- To gratuluję - powiedział prezes.
- Pogratuluj pan sobie - odparł szczęśliwy ojciec - bo to pana wina.
- Moja - zdziwił się szczerze prezes - a to niby dlaczego?

- Bo od pana otrzymałem zapewnienie na piśmie, że pod koniec ubiegłego roku otrzymam mieszkanie. Nie miałem więc co czekać, powiększyłem rodzinę - świadomie i racjonalnie, a pan słowa nie dotrzymał, mieszkania nie dał na czas. Więc, kto jest winien?

Dalszy ciąg na str. 6

Czytanie reportażu przypomina nieco oglądanie fotografii, budzi ten sam typ skojarzeń, wywołuje świadomość uchwyconej na gorąco, ale jednocześnie utrwalonej na zawsze, chwili. Coś tam zostaje za kadrem, coś, czego dostrzec już nie zdołamy, lecz to, czym dysponujemy, wynagradza nam wszystkie niedopowiedzenia wyrazisto-

Jest więc reportaż, możemy to sobie powiedzieć otwarcie, strażą przednią literatury; jest zwrócony ku sprawom, których jego protektorka jeszcze ogarnąć nie może i nie potrafi. I może właśnie dlatego akurat w nim najpełniej zawiera się mentalność współczesności. Toteż reportaż o wiele wyraźniej niż „czysta” literatura nosi na sobie piętno czasu, który powołał go do istnienia. Silniej też odziskują się na nim społeczne i obyczajowe niepokoje epoki oraz wszystko, co składa się na pojęcie rzeczywistości.

Zresztą i literatura „czysta” korzysta często z techniki narracyjnej, którą dziś zakwalifikowalibyśmy bez wahania

KONRAD FREIDLICH

Reporterzy na Piotrkowskiej

ścią szczegółów. Szczegółów, świadomie nieraz modelowanych, gdyż posługiwanie się tworzywem zaczerpniętym bezpośrednio z rzeczywistości nie zamyka drogi do artystycznej transformacji zdarzeń i obserwacji.

Toteż nic dziwnego, że na całym świecie daje się odczuć zainteresowanie literaturą faktu, a liczne książki tego rodzaju stają się najgłośniejszymi bestsellerami. Otóż reportaż, ten ubogi, a w każdym razie często niedoceniany krewny „czystej” literatury, ma nad nią jedną niewątpliwą przewagę. Jest nią szybkość reakcji na zdarzenia godne upamiętnienia czy utrwalenia, wobec których proza artystyczna nie potrafi znaleźć jeszcze dystansu.

jako opis reporterski, w czym celowali zwłaszcza naturaliści, a w Polsce pisarze doby pozytywizmu. Wiele takich fragmentów zawiera choćby „Ziemia Obiecana”.

Nieprzypadkowo przywołuję tutaj powieść Władysława Reymonta. Przeszczepiony przez pisarza z Biblii termin „Ziemia Obiecana” wszedł na trwałe do języka publicystów piszących o Łodzi, najczęściej w znaczeniu, jak u Reymonta, sarkastyczno-ironicznym. Już to wystarcza więc, aby omawiając dzieło reportażu łódzkiego, książkę tę przypomnieć. A przecież jest ona jednocześnie w literaturze polskiej pozycją dość niezwykłą, bo pierwsza i jak dotychczas najlepiej ukazuje proces kształtowania się proletariackiego, włókienniczego miasta.

Najpełniej! Ale czy rzeczywiście dostatecznie wyraziście? Na pytanie to będziemy mogli odpowiedzieć, zajmując się powstałą w tym samym czasie literaturą faktu. Nie są to jeszcze, rzecz zrozumiała, reportaże sensu stricto, a jeszcze ściślej - reportaże literackie, do jakich przyzwyczaili nas pisarze dwudziestolecia międzywojennego, którzy uświadamiali już sobie możliwość i znaczenie prozy faktu. Ale warto równocześnie przypomnieć, że

Dalszy ciąg na str. 3

FRANCISZEK LEWANDOWSKI

- Pani pułkowniku! Zgłosiła się pani Odette Sansom!

Szef Departamentu Ministerstwa Wojny dla Spraw Francji w Londynie zabierał się właśnie do przeglądania porannej poczty, gdy adiutant zameldował przybycie dość rzadko tu widywanej kobiety. Wstał i wyszedł naprzeciw. Po chwili wprowadził przystojną, wysokiego wzrostu panią około 30-tu lat. Uprzejmym ruchem ręki wskazał jej fotel.

- Pani Sansom! - rozpoczął po chwili. - To, co za chwilę pani usłyszy, nie będzie poleceniem, ani rozkazem, które zwykliśmy wydawać. Będzie tylko propozycją, którą pani może przyjąć, względnie odrzucić. Decyzja - powtarzam raz jeszcze - zależy tylko od pani.

Zapanowała chwilowa cisza.

- Pani Sansom! Czy chciałaby pani wyjechać do Francji?

- Teraz, w okresie wojny...

- Tak, teraz! Pani jako Francuzka może nam oddać wielkie usługi we Francji. Chcemy pani powierzyć ważną misję. Będzie pani reprezentowała nas we francuskim ruchu oporu.

- Czy sama mam wyjechać?

- O, nie! Nie puścimy pani samej. Towarzyszyć będzie pani kilku naszych ludzi. Będą pani pomocni...

Dalszy ciąg na str. 5

Reporterzy na Piotrkowskiej

Dalszy ciąg ze str. 1

w końcu dziewiętnastego stulecia nikt jeszcze nie wiedział o istnieniu „szalejącego reportera” Egona Erwina Kische, a wielkie zjawisko w reportażu, bo jego odkrywca — John Reed, był równie trudny do przeczczenia jak wybuch rewolucji socjalistycznej w Rosji.

Mimo te zastrzeżenia w początkach Łodzi przemysłowej możemy już jednak mówić o pierwowidach literatury faktu, która i w tym okresie wyprzedziła powieść. Za ojca literatury o Łodzi słusznie można uważać Oskara Flatta, który już w 1853 r., nakładem „Gazety Codziennej”, ogłosił swój słynny „Opis miasta Łodzi pod względem historycznym, statystycznym i przemysłowym”, stanowiący do dziś niewyczerpane źródło wiadomości o pradziejach fabrycznego miasta.

Książka Flatta została opublikowana w czternaście lat po uruchomieniu w Łodzi pierwszej maszyny parowej (1839) i na osiem lat przed innym ważnym wydarzeniem w dziejach miasta: pierwszym buntem tkaczy (1861). Celowo przytaczam te daty, bowiem pierwsza powieść związana tematycznie z Łodzią — „Bawelna” Wincentego Kosiakiewicza, ukazała się dopiero w roku 1895. Różnica lat mówi sama za siebie; reporter był pierwszy. I w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia, że kolejni publicyści z ubiegłego wieku, którzy wstępują na drogę Oskara Flatta, nie dorównują swojemu mistrzowi. Bo w okresie tym, wyłączwszy „Ziemie Obiecane” Reymonta, zarówno ukazujące życie Łodzi proza fikcji, jak i proza faktu, przeszedłymi samymi nieporadnościami. Wystarczy zapoznać się choćby ze „szkicem społeczno-obyczajowym” współpracownika „Kuryera Codziennego”, Adolfa Starkmana, którego praca pełna jest niezamierzonego kaznodziejstwa, mało zaś w niej tego, co we współczesnym żargonie reporterskim nazywa się „mięsem”. Ale warto może jednocześnie przedstawić w niej obraz Łodzi porównać z opinią, jaką nam wydana w tym samym czasie „Bawelnie” Kosiakiewicza, pozostawił Ludwik Stolarzewicz, pierwszy łódzki krytyk literacki:

„Powieść ekliwa i sentymentalna. To fałszywie podmalowane — postaciom brak życia. Sam autor na pewno do Łodzi nie zaglądnął, znając ją z artykułów gazeciarskich czy podręczników geografii”

Ale chociaż „reportażowi” Starkmana również brak życia, nie można wszakże autorowi zarzucić, że nie odwiedził miasta, które tak możliwie i niezgrabnie sportretował. Można mu co najwyżej wytknąć, że swój przyjazd „ślimaczym pociągiem przedsiębiorstwa kolei Fabryczno-Łódzkiej” potraktował zbyt formalnie i dlatego też nie dostrzegł fermentów, które w tym czasie rozsadały już miasto: nie dostrzegł przemiany manufakturowych tkaczy w wielkoprzemysłowych robotników, świadomych swej klasowej odrębności. Koniec wieku dziewiętnastego to przecież jednocześnie początek zorganizowanego ruchu robotniczego, który z taką siłą ujawnił się właśnie w Łodzi podczas krwawych wypadków czerwcowych 1905 roku. Ale Starkman patrzy na miasto poprzez administracyjne kantory.

Zupełnie inaczej postąpił Stefan Górecki, który niemal w pięćdziesiąt lat po Flacie napisał kolejną monografię, zatytułowaną „Łódź społeczna” (1904). Jest w niej drobny, ale obserwator wszelkich przejawów ówczesnego życia, gdyż starannie poznał Łódź i jej posępny obyczaj, w której. Relacje jego, choć jest także powierzchowna, cechuje swoista dziennikarska elegancja i potoczność narracji. Ale trzeba było dopiero silnego wstrząsu społecznego, jakim był wybuch powstania 1905 roku, a potem wielomiesięczne walki, prowadzone przez zwalczające się partie polityczne, aby zainteresowanie piszących skierować na sprawy najistotniejsze.

Takiego zadania podjął się specjalny wysłannik czasopisma „Świat”, Zygmunt Bartkiewicz.

„Od długich miesięcy — głosił redakcyjny wstęp — ogół Polski otrzymuje żalobne wieści z Łodzi. Na ulicach tego nieszczęsnego miasta leje się krew bratobójcza, ruch rewolucyjny przeobraził się w wolnopraczykujący bandytyzm, przemysłowiec, który utrzymywał setki tysięcy ludzi, grzeje ruiną. By zbadać bliżej i wszehzchnie te oplakane stosunki, wydelegowaliśmy do Łodzi członka naszej redakcji, p. Zygmunta Bartkiewicza. Rozpoczynamy druk jego wrażeń, w nadziei, że ankieta nasza rozjaśni chociaż w pewnym stopniu tajemnicę środowiska, które do niedawna nazywano Polskim Manchesterem, a które dziś zasłużyło sobie na posępne miano — „Złego Miasta”.

Właśnie „Złego Miasta”, czy też „obraz”, jak później określili swoją relację z wypadków roku 1907 sam autor w podtytułe książki „Złego Miasta”. Rzecz charakterystyczna: aniżeli nie pojawia się tutaj słowo „reportaż”. Bo termin ten przyszedł się w języku polskim znacznie później, dopiero w latach dwudziestych naszego wieku. A jednak poznawszy korespondencję Bartkiewicza z Łodzi, opublikowaną w czterech kolejnych zeszytach „Świata”, nie można mieć wątpliwości, że czytamy re-

portaż. Może nas w nim drażnić manierystyczność stylu, można dziś, z perspektywy lat, wytknąć autorowi, że lokuje swoje sympatie po stronie wstecznej ugrupowania politycznego, jakim była endecja, można wreszcie wiele zarzucić sposobowi przedstawienia przez Bartkiewicza mechanizmów ruchów społecznych, ale reportaż ten sprawdza się najlepiej w tych fragmentach, gdzie jest z pozoru bezosobowa relacja, gdzie jest wyselekcjonowanym protokołem wydarzeń. I w tych partiach będzie on zbliżony z relacją innego korespondenta, przedstawiciela petersburskich „Russkich wiadomości”, Mikotaja Timkowskiego-Kostina, sympatyzującego raczej z ugrupowaniami socjalistycznymi. Cykl jego korespondencji z Łodzi przełożony na język polski ukazał się w roku 1907 jako druk książkowy pt. „Miasto proletariuszów” nakładem Salomei Zutto.

Co sprawiło, że ludzie różnych narodowości, stojący jednocześnie na krańcowo przeciwnych pozycjach ideowych, spotykają się jednak w tym samym niemal punkcie topograficznym? Mają, co prawda, twarze zwrócone w inne strony, ale relacje ich uzupełniają się, a niekiedy wręcz nakładają na siebie. Inny jest montaż i reżyseria faktów, lecz w sumie otrzymujemy podobny nastrój i klimat. Przesądziła chyba o tym wspólnota tworzywa, przesądziła tożsamość zdarzeń w jednej i drugiej relacji. Bartkiewicz zresztą, zawodowy literat, stara się materię tego tworzywa przelać i tam, gdzie tego istotnie dokonuje, gdzie rzeczywistość jest tylko pretekstem do snucia zmyślonej już opowieści, narracja jego słabnie mimo wyszukanych figur stylistycznych. Jeszcze wyraźniej widać to w reportażu „Dzień roboczy” z nowelistyczną pointą, która choć zdecydowanie kontrastowa, w gruncie rzeczy niweluje dramatyczne napięcie relacji.

Czy można mieć o to pretensję do autora? Doprawdy, nie wymagamy zbyt wiele, reportaż jako samoistny gatunek wykształcił się w Polsce dopiero w latach dwudziestych i reprezentowany był przez nazwiska tej miary, co Maria Dąbrowska, Maria Kuncewiczowa, Zbigniew Uniwski, Ksawery Pruszyński. W porównaniu z Warszawą portretowaną przy łada okazji łódzkie reportáže nie przedstawiają się zbyt okazałe pod względem ilości, ale są świadectwem zainteresowania pisarzy tematem pracy, tym tematem, z którym nie może się uporać również nasza epoka. Trzeba przecież pamiętać, że moda na reportaż przysłała z Radzieckiej Rosji, gdzie często zastępował „czystą” literaturę i gdzie niejednokrotnie wypierał powieść, czego najlepszym dowodem choćby głoszona w owym czasie, przełożona zresztą na język polski, książka Fiodora Gładkowa „Cement”. Nie przypadkowo więc teorią reportażu, poświęcając kilka kolejnych numerów, zajmował się komunistyczny „Miesięcznik Literacki”. Aleksander Wał, redaktor naczelny czasopisma, pisał:

„Reportaż radziecki nie ma celów rozrywkowych czy wyłącznie i odcierania poznawczych. Poznanie łączy się dialektycznie z praktyką. Reportaż jest przede wszystkim organizatorski, to znaczy opisując rzeczywistość, odkrywa jej słabe strony, proponuje ulepszenia, wpływa bezpośrednio na jej poprawę. O ile powieść organizuje emocje i świadomość ludzką, o tyle reportaż organizuje bezpośrednio i praktykę”.

Wiemy z naszego powojennego doświadczenia, że nie zawsze te postulatory da się zrealizować, ale z wypowiedzi Wata wyłuskać można podstawową cechę reportażu: jego konfliktowy charakter. Reportaż jest bowiem najbardziej agresywnym gatunkiem literackim niezależnie od tego, czy jego intencją jest bezpośredni interwencjonizm, czy też tylko zasygnalizowanie zjawisk, których nikt przed reporterem nie dostrzegł. Demaskatorstwo, demitologizacja zrosłała się bowiem z reportażem wcale i stanowią jego zasadniczą siłę. Można nawet powiedzieć, że tam, gdzie autor sprzeniewierza się faktom, sprzeniewierza się przede wszystkim autentycznej wartości swego dzieła. Prawda zawarta w reportażu spełnia bowiem podwójną rolę: poznawczą i estetyczną zarazem.

Powróćmy jednak do zasadniczego tematu: jak została sportretowana Łódź międzywojenna w reportażach z tamtego okresu? Trzeba stwierdzić, że początkowo pojawiały się, od czasu do czasu, na łamach prasy reportáže impresyjne, obrazki i migawki o pewnej wartości poznawczej, ale w porównaniu z możliwościami, jakie niesł ten awangardowy wówczas gatunek literacki, trzeba uznać je za relacje marginalne. O ilez ciekawszy jest reportaż młodego wówczas radzieckiego pisarza Ilii Erenburga, zatytułowany „Łódź biegnie nago po świecie”. Erenburg dostrzegł bowiem to, na co zamykali oczy inni: drążący i paraliżujący miasto kryzys. Kryzys ten nie miał jeszcze, jak w latach trzydziestych, ogólnomiastowego charakteru, ale w Łodzi dawał się już dotkliwie we znaki. Na tę ciężką sytuację miasta wpłynęły w pierwszym rzędzie zniszczenia wojenne przemysłu łódzkiego, zamykające się sumą blisko 390 milionów rubli w złocie. Ale do pogłębienia kryzysu ekonomicznego przyczyniła się także utrata rynków zbytu na Wschodzie, co sprawiło, że eksport wyrobów włókienniczych zmniejszył się, w porównaniu ze stanem sprzed pierwszej wojny światowej, dwudziestosześciorrotnie.

Światowy kryzys ekonomiczny lat trzydziestych to jednocześnie najlepsze lata reportażu łódzkiego okresu międzywojennego. Wówczas to zwrócić oczy na robotnicze miasto czołowi polscy reportażyści. Wówczas też reportaż zaczął konkurować z powieścią o pierwszeństwo w emocjonalnym zaangażowaniu czytelnika.

Wspomniałem już, jak wielką wagę przywiązywał do tego gatunku komunistyczny „Miesięcznik Literacki”. Czasopismo nie ograniczyło się do teoretycznych rozważań, podjęło działalność inspiratorską, ogłaszając konkurs na reportaż. Wśród wyróżnionych prac trzy tematycznie związane były z Łodzią.

Jedną z tych prac, „Wima” Walińskiego, ukazuje nam nieoczekiwane nowe możliwości reportażu w zakresie doświadczeń warsztatowych. „Wima” to popularna nazwa Włdzewskiej Manufaktury, najprężniejszego w owym czasie w Łodzi zakładu przemysłowego, należącego do Oskara Kona. W porównaniu z zafałszywanym technicznym i technologicznym łódzkich fabryk, „Wima” uchodziła mogła w latach trzydziestych za wzór nowoczesnego kombinatu o wysoko zorganizowanej produkcji. Była jednocześnie najjaszkrawszym przykładem wyszoku robotnika.

Stosunki w Włdzewskiej Manufakturze wcześniej przedstawił Ilii Erenburg, ale jego relację można określić jako tradycjonalistyczną. Waliński, autor reportażu wyróżnionego przez „Miesięcznik Literacki”, spojrział na fabrykę Kona nieco innymi oczami. Opisując zakład o wysoko zorganizowanej produkcji, dokonał montażu faktów przy pomocy wysoko zorganizowanego języka; stąd rytmiczność zdania i niemal poetycki rygor, co w konsekwencji pozwoliło na osiągnięcie znacznego stopnia ekspresji i kondensacji. Można jednak do niego odnieść uogólniające stwierdzenie Wata, który pisał:

„Reportaż jest najbardziej zracjonalizowanym rodzajem literackim. Jest w nim bezpośrednia bliskość między intencją a wykonaniem, między klasowym nastawieniem autora, a doborem, nasświetleniem i montażem obserwacji”.

Owo „klasowe nastawienie autora” szczególnie wyraźnie zaznaczyło się w reportażach czołowego publicysty sanacyjnego, Konrada Wrzosa, blisko związanego z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym”, a to już mówi samo za siebie. W Łodzi rozmawia Wrzosa z dyrektorem Robertem Geyerem, prezesem Łódzkiej Izby Przemysłowo-Handlowej. W Warszawie rozmawia Wrzosa z prezydentem Rzeczypospolitej, Ignacym Mościckim. A przeciwieństwo rezultat tych rozmów i podróży odbywanych w styczniu, lutym i marcu 1933 roku jest zupełnie nieoczekiwany. Cykl reportażu „Oko w oko z kryzysem”, opublikowanych nakładem E. Hoelsicka, jest jedną z najbardziej oskarżycielskich i demaskatorskich książek o Polsce międzywojennej.

Salto już czasy, gdy reportaż w naszym kraju doznaje nobilitacji, gdy staje się literaturą w sensie dosłownym i to literaturą walczącą (Jalu Kurek: „Grypa szaleje w Naprawie”; Wanda Wasilewska: „Oblicze dnia”), gdy możliwości tego gatunku pociągają wybitnych twórców. Jedną z takich prób jest reportaż Heleny Boguszeńskiej pt.: „Włókniarze”, ogłoszony po raz pierwszy w roku 1934 w specjalnej zbiorowej książce zespołu „Przedmieście”. Rezultaty tej techniki pisarskiej możemy ocenić, porównując z „Włóknarzami” choćby, reportaż innego wybitnego pisarza, Zygmunta Nowakowskiego. Nosi on zalecający się tytuł — „Miasto Ariadny”, ale nie dorównuje pracy Boguszeńskiej ani siłą wyrazu, ani też bogactwem faktów, chociaż posiada podobną społeczno-humanitarną wymowę. W podobny sposób musimy odczytać reportaż Hanny Mortkiewicz-Olczakowej zamieszczony w jej notatniku z wędrowek po Polsce. Także Pola Gojawikówna, uczulona przecież na krzywdę proletariatu, nie osiąga, w świetnym zresztą reportażu „Z innej gliny”, tej przenikliwości spojrzenia co Boguszeńska, kreśląca portret włókienniczej rodziny w aparciu o staranną obserwację i swoiste współuczestnictwo w życiu swoich bohaterów. Po prostu tradycyjny dziennikarski wywiad, w połączeniu z pospieszną wizją lokalną, okazał się dla tematu niewystarczający; zabrakło tworzywa, toteż i fotograficzny montaż tych wymiarów, które dyktowała dramaturgia wydarzeń.

W wyborach do Rady Miejskiej, jesienią 1933 roku, lewica zdobyła 40 mandatów, a więc ponad połowę, co spowodowało interwencję rządu i rozwiązanie Rady. Wyścigiem narodziło się między innymi zwalczaniem przesunięcia w lewo, była demonstracja pierwowzorem, stanowiąca doskonałą ilustrację teorii, co mogą sprawić połączone wysiłki zjednoczonej klasy robotniczej. Rozgłos, jaki nadała tej demonstracji prasa burżuazyjna, ponownie zwrócił uwagę reportażyistów na Łódź, miasto typowo proletariańskie. Reportaż Ksawerego Pruszyńskiego napisany w tym okresie ma charakter pae excellence polityczny i stanowi interesujący przyczynek do analizy nastrojów klasy robotniczej w Łodzi. Jest on tym ciekawszy, że reportażyista obrał sobie za punkt obserwacyjny stronnictwo endeckie i obnażył jego manipulacje w środowisku bezrobotnych, ukazał także rozdźwięk w kierownictwie partyjnym na tle hasel ideologicznych i taktyki oddziaływania na masę.

W większości reportażu międzywojennych opublikowana została poza Łodzią i napisana przez autorów nie związanych z miastem, toteż warto zwrócić uwagę na próby lokalnych reportażyistów. Byli nimi najczęściej mało utalentowani dziennikarze, współpracujący z „Głosem Porannym”, który ogłaszał reportáže w specjalnym dodatku pt. „Rewia”. Ale niekiedy reportaż podiagał również pisarzy, jak stało się to z Rafałem Lenem, autorem książek „Młodość za króla” i „Ludzie na schodach”. Stosunkowo nide zainteresowanie tym gatunkiem wśród pisarzy wytłumaczyć trzeba przede wszystkim faktem, że łódzkie środowisko literackie prawie nie posiadało w owym czasie prelatorów i wbrew temu, co głosił Ilii Erenburg, kwitła w Łodzi przede wszystkim poezja.

KONRAD FREDLICH

NAGRODY miasta ŁODZI

Tradycyjnie, w rocznicę wyzwolenia Łodzi, miasto przyznało doroczne nagrody wybitnym przedstawicielom nauki i kultury. Piękny, troskliwie kultywowany zwyczaj przypomina nam tamten mroźny, a przecież radosny dzień roku 1945, kiedy do umęczonego miasta przysła wolność i jednocześnie uprzątnięcie wysiłku odbudowy i rozwoju w tych zwłaszcza dziedzinach, których najpełniejsze osiągnięcia związane są trwale z nową rzeczywistością. Pierwszy rok wyzwolenia to przecież początek działalności wyższych uczelni w Łodzi powołanych do istnienia pierwszymi dekretami władz Polski Ludowej. To zarazem okres bujnego rozwoju życia artystycznego, który trwa po dzień dzisiejszy.

Już w okresie międzywojennym Łódź, jako pierwsze z miast niepodległej Polski, potrafiło docenić znaczenie nauki i kultury fundując w r. 1928 nagrodę, której regulamin stał się potem wzorem dla innych wielkomijskich ośrodków. Na liście laureatów miasta spotykamy nazwiska ludzi, bez których trudno byłoby sobie wyobrazić polską kulturę. Tamte pierwsze nagrody miały na celu animację działalności artystycznej i naukowej w naszym mieście, nagrody powojenne utrwalały i popularyzowały dorobek środowisk znajdujących się w najpełniejszym rozwoju.

W tym roku nagrody otrzymał:

PROF. DR WITOLD HAHN: Nazwisko profesora Witolda Hahna związane jest z Uniwersytetem Łódzkim, gdzie pracuje naukowo już od dwudziestu trzech lat. Ten wybitny chemik, wsławiony zwłaszcza swymi badaniami dla przemysłu farmaceutycznego i przemysłu barwników, przez wiele lat kierował Katedrą Chemii Organicznej, obecnie zaś jest dyrektorem Instytutu Chemii i kierownikiem Zakładu Chemii Organicznej Uniwersytetu Łódzkiego.



Prof. dr Witold Hahn

Na ogromny dorobek naukowy Witolda Hahna składa się 88 opublikowanych prac opartych na własnych badaniach doświadczalnych oraz dwie prace przeglądowe. Laureat zasłynął także jako odkrywca uzyskując 16 patentów i dokonując 10 zgłoszeń wynalazczych.

Równie imponujący jest jego dorobek dydaktyczny bowiem ten zasłużony wychowawca wielu pokoleń młodych chemików, wychował 17 doktorów i 2 dok-

torów habilitowanych, którzy samodzielnie prowadzą dziś działalność naukową. Żywa działalność naukowa i dydaktyczna nie przeszkodziła profesorowi Witoldowi Hahnowi uczestniczyć w życiu społecznym miasta, w Łódzkim Komitecie Frontu Jedności Narodu oraz w zarządzie Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. Jednocześnie poprzez aktywne kontakty z zagranicznymi ośrodkami naukowymi (Halle, Lyon, Moskwa) przyczynił się znacznie do rozstawienia polskiej chemii w świecie.

PROF. DR JERZY NOFER: Nagrodę w dziedzinie nauk medycznych otrzymał prof. dr Jerzy Nofer, dyrektor Instytutu Medycyny Pracy w Przemysławie Wielkopolskim i Chemicznym w Łodzi, a więc placówki naukowej niezwykle ważnej dla przemysłowego miasta, tym bardziej, że świadczy ona bezpośrednie usługi dla mieszkańców współpracując z Przychodnią Przemysłową m. Łodzi. Istotne miejsce w zainteresowaniach profesora Jerzego Nofera zajmuje problem leczenia ostrych zatruci w oparciu o doświadczenia ośrodka rozpoznawania i leczenia ostrych zatruci, którego jest twórcą. Pozwoliły one opracować koncepcję ich leczenia w skali całego kraju.

Prof. dr Jerzy Nofer poświęcił się problematyce medycyny pracy już od r. 1945, kiedy to pracował w Państwowym Zakładzie Higieny w Łodzi. Przez pewien czas kontynuował swoje badania w Katedrze Higieny Ogólnej w Warszawie, aby następnie wrócić do Łodzi, gdzie do dziś prowadzi działalność naukową w wybranej przez siebie dziedzinie. Jest autorem 33 oryginalnych prac nauko-

wo-badawczych, a także prac poglądowych i metodycznych oraz recenzji.

Prof. dr Jerzy Nofer jest także zasłużonym organizatorem badań naukowej w naszym mie-



Prof. dr Jerzy Nofer

ście i pod jego kierownictwem Instytut Medycyny Pracy stał się dynamiczną placówką badawczą przede wszystkim w zakresie ochrony zdrowia pracowników Łodzi i województwa łódzkiego.

PROF. DR STANISŁAW ZAGRODZKI: Nazwisko prof. dr Stanisława Zagrodzkiego już od 20 lat związane jest z łódzką nauką, kiedy to w r. 1950 zorganizował Wydział Chemii Spożywczej Politechniki Łódzkiej, którego był wieloletnim dziekanem. A trzeba stwierdzić, że jest to jedyny tego rodzaju w Polsce wydział zajmujący się tak szczegółowo problematyką technologii spożywczej. Zagadnienia przemysłu spożywczego od początku zresztą stanowiły życiową pasję prof. dr Stanisława Zagrodzkiego. Kierując Instytutem Chemicznej Technologii Żywności Politechniki Łódzkiej, przy ścis-

łym współdziałaniu z przemysłem, prowadzi liczne badania, które pozwoliły na opracowanie 68 prac dla ośrodków gospodarki narodowej. Współpraca ta obejmuje przemysł cukrowniczy, chemiczny, spirytusowy, drożdżowy, ziemniaczany, mleczarski, a także przemysł budowy maszyn. Nowe opracowania technologii i aparatury opracowane pod kierownictwem profesora znalazły zastosowanie w cukrowniach budowanych na eksport. Przemysł cukrowniczy zawdzięcza mu także tron swojej inżynierskiej kadry, gdyż wykształcił blisko 500 specjalistów w tej dziedzinie.

Liczne prace prof. dr Stanisława Zagrodzkiego ukazywały się w przekładzie na języki obce: angielski, fran-



Prof. dr Stanisław Zagrodzki jest z Łodzi od r. 1945, gdzie przyjechał jako spiker polskiego radia i współorganizował łódzką rozgłośnię. Od początku poświęcił też wiele wysiłków organizacji życia literackiego w Łodzi, rozwinął szeroką działalność społeczną reprezentując Łódź na I Kongresie Obroń-



Igor Sikirycki

IGOR SIKIRICKI: Zainteresowania literackie Igora Sikiryckiego obejmują poezję, prozę, a także satyrę. Od swego debiutu na łamach „Odrodzenia” w r. 1944 wydał szereg książek, wśród których zwracają uwagę takie tomy wierszy jak „Wolanie drzew” i „Nocny polów”, zbiory sa-

ków Pokoju, wiele lat pracował w Teatrze „7.15” jako dyrektor artystyczny, aktywnie uczestniczył też w pracy zarządu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Jego działalność przekładała z literatury narodów Związku Radzieckiego spotkała się z uznaniem Komitetu Wydawniczego przy Radzie Ministrów ZSRR, czego wyrazem dyplomy uznania za twórczość translatorską w r. 1970 i 1972.

ZESPOŁ TANCA LUDOWEGO IM. SZ. HARNAMA: Zespół ten, znany dobrze w kraju, a także za granicą, działa od r. 1947, stając się z czasem wizytówką Łodzi, co jest w dużej mierze zasługą choreografki Jadwigi Hryniewiczkiej oraz pedagoga Marii Szudlarek, zespół ten bowiem reprezentuje najwyższe osiągnięcia w dziedzinie amatorskiego ruchu artystycznego. Jest to, dodajmy, zespół na wskroś włóknarski, złożony z pracowników fabryk oraz ich dzieci.



Zespół im. Sz. Harnama

tyr „Igraszką i fraszką” oraz „Ostrożnie, świeżo napisane”. Szczególnie miejsce w jego twórczości zajmuje także działalność translatorska, a zwłaszcza przekład gruzińskiego eposu „Witez w tygrysięj skórce” i armeńskiego eposu „Dawid z Sasunu”. Wiele uwagi poświęca także twórczości dla dzieci i młodzieży.

Igor Sikirycki związany jest z Łodzią od r. 1945, gdzie przyjechał jako spiker polskiego radia i współorganizował łódzką rozgłośnię. Od początku poświęcił też wiele wysiłków organizacji życia literackiego w Łodzi, rozwinął szeroką działalność społeczną reprezentując Łódź na I Kongresie Obroń-

tyr „Igraszką i fraszką” oraz „Ostrożnie, świeżo napisane”. Szczególnie miejsce w jego twórczości zajmuje także działalność translatorska, a zwłaszcza przekład gruzińskiego eposu „Witez w tygrysięj skórce” i armeńskiego eposu „Dawid z Sasunu”. Wiele uwagi poświęca także twórczości dla dzieci i młodzieży.

tyr „Igraszką i fraszką” oraz „Ostrożnie, świeżo napisane”. Szczególnie miejsce w jego twórczości zajmuje także działalność translatorska, a zwłaszcza przekład gruzińskiego eposu „Witez w tygrysięj skórce” i armeńskiego eposu „Dawid z Sasunu”. Wiele uwagi poświęca także twórczości dla dzieci i młodzieży.



WIELKI LAMENT NA KIBICÓW

Przeczytałem artykuł A. Makowieckiego „Wielki lament na wrednych kibiców” i doszedłem do wniosku, że bez odpowiedzi go zostawić nie mogę. A więc go kole! Zdanem autora „Górnika” cieszy się większą sympatią u kibiców niż „Legia” nie dzięki swojej grze, lecz... dzięki sprawozdaniom prasowym(!). Piszą oni podobno komentarze, które zamiast kibiców wycho-

wywać „bez ustanku ich deprawują, dezinformują”, ogupiają i podpuszczają... Bardzo przepraszam, ale skoro komentarze te ogupiają kibic sportowego, to artykuł A. Makowieckiego czyni z tego wroga sportu lub w najlepszym razie, wspomnianego szwinię. Przecież jest chyba logiczne, że „swoją” drużynę (w skali ogólnokrajowej) każdy wybiera sobie sam; nie mają tutaj żadnego wpływu osoby trzecie. To, że „Górnika” cieszy się sympatią większą niż „Legia”, jest chyba zasługą ich gry i sportowych osiągnięć.

Dalej: Pisze A. Makowiecki, że „Górnika” nie jest drużyną lepszą od „Legii”. Jak łatwo można sprawdzić, „Górnika” jest o 30 lat młodszy od „Legii” (1948-1918). Mimo tego „Górnika” zdobył 10 razy mistrzostwo Polski („Legia” — 4) i 6 razy Puchar Polski („Legia” — 3). Jest to chyba najbardziej niarodajny argument, gdyż o bie drużyny mają za przeciwników te same zespoły (mistrzostwo Polski). Podważanie rangi Pucharu Zdobywców Pucharów uważam za pomyłkę, wynikającą z niezajomości tej dziedziny sportu. Zgodna, że Puchar Zdobywców Pucharów jest „nieco słabszy” od Pucharu Europejskich Mistrzów Klubowych, ale nie aż na tyle, by zakwalifikowanie się do „czwórki” PEMK było większym o-

siągnięciem, niż udział w finale PZP. Zresztą, jeśli PZP ma stać się „obłądkiem”, to dlaczego „Legia” odpadła w II rundzie? Co do tego, czy „Górnika” znalazła się „Legia” (półfinal PEMK), czy też nie, to dam radę Andrzejowi Makowieckiemu: niech Pan się nie bawi w wódkę, bo spała Pana na stosie, a tak „dobrze” zapowiadającego się dziennikarza sportowego” byłoby szkoda...

Dalej: Co do szkolenia „narybku”, to rzeczywiście „Górnika” nie ma tu dużo osiągnięć i skłonny jestem przyznać lekką przewagę „Legii”, która zresztą też nie poczyniła postępów. Co do argumentu, że „Legia” oddała LKS bramkarza i pięciu „znakomitych” napastników, mam pewne wątpliwości. Otóż nie umniejszając umiejętności tej płci stwierdzam, że nie mogli oni być znakomitemi z tej prostej przyczyny, że jeśliby „Legia” oddała pięciu znakomitych napastników, to w jej drużynie w napadzie grablby chyba... rezerwowi bramkarze i asystent trenera. Przecież pięciu znakomitych napastników posiadają dziś tylko Śląsk (Ajax, Arsenal). Co do zawodników „pościąganych”, to jestem zdania, że w wypadku „Górnika” i „Legii” wyszło im to (zawodnikom) tylko na dobre. Chodzi mi o osiągnięcia poziomu gry takiego, z któ-

rym śmiało można iść na europejskie boiska i nie wywołać drwiących uśmiezków na twarzach miejscowych kibiców. Również kadra chyba nie na tym „interesie” nie straciła, lecz wręcz przeciwnie — zyskała.

Dalej: Sprawa reprezentacji Polski. Sprawa postawienia znaku równości między „Górnikiem” a reprezentacją Polski nie była wcale taka kretyńska, jak się A. Makowieckiemu wydaje. Gdy była o tym mowa „Górnika” rzeczywiście znajdował się w doskonałej formie i wtedy na pewno „rozłożyłby” „Dynamo” Kijów tak, jak 5 lat temu.

To, co pisano w gazetach przed Monachium, rzeczywiście było „niewypałem”, chociaż trudno było spodziewać się po Gadosze tak udanego występu. Artykułów dotyczących „powojennego i ospałego Kazimierza Deyny” nie zauważyłem, i mimo że Zyga nie jest taki, jak za dawnych, dobrych lat, to jego majstersztyk w meczu z ZSRR był najwyższego kalibru. Co do Włodzimierza Lubańskiego, to mam inne zdanie. Lubański na Olimpiadzie blyszczący, tylko inaczej niż zwykle. Ten blask mógł zauważyć tylko wytrwały, znający się na rzeczy kibic. A że A. Makowiecki tego nie zauważył, wniosek narzuca się sam... Zresztą diaczego Lubański znalazł się

obok Deyny w dziesiątce najlepszych piłkarzy Europy w plebiscycie paryskiego tygodnika „France Football” i w Polsce? Poza tym, dlaczego w meczu na pożegnanie Lwa Jastyna (Moskwa, 27.5.71) wystąpił dwaj „górnicy”: Aniczok i Lubański? Dlaczego w meczu Europa — Ameryka Płd. (Bazyłka 3.12.72) wystąpił jedynie Polak — Włodzimierz Lubański? Powyższym nie twierdzę absolutnie, że „Deyna” ciągle jeszcze jest żywy! Gadocha — tepe! itd., itd. Owszem, umiem docenić wartość „Legii” jako drużyny piłkarskiej i jestem zdania, że ma zupełnie niezagrożone, lecz jednocześnie jak najbardziej zasłużone drugie miejsce w hierarchii naszego piłkarstwa.

Dalej: Jeśli chodzi o zachowanie na boisku i poza nim, to trzeba wspomnieć, że ekscesy w meczu z GKS były jedynie i to ładnych parę lat temu. A „Legia” nie ma wcale tak czystego konia. Wystarczy wspomnieć mecz o Puchar Polski z 1972 r. w Łodzi. Gdy „Legia” zaczęła zbierać „manto”, od razu atmosfera sportowej walki przysła i „Legia” pokazała „Górnikowi”, jak można obrzydliwie Ślązakom grę ze stoletnimi piłkarzami. A może red. A. Makowiecki wie, co stało się z Grotyńskim, dlaczego tak nagle zakończył karierę? Albo

Zmijewski? Za co otrzymał karę PZPN? A przecież to wszystko też rutynie na zespół!

Dalej: A propos kibiców: widocznie poznali się na „Legii” i dlatego rzeczywicie ci ostatni mają niewiele wtych kibiców w skali ogólnokrajowej. Jeśli kibic gwizda na własną drużynę, to chyba nie dlatego, że dziennikarze deprawują ich i ogupiają? Panie Andrzej! Jaki Makowiecki, jak Boga kocham, przestańmy się oszukiwać!

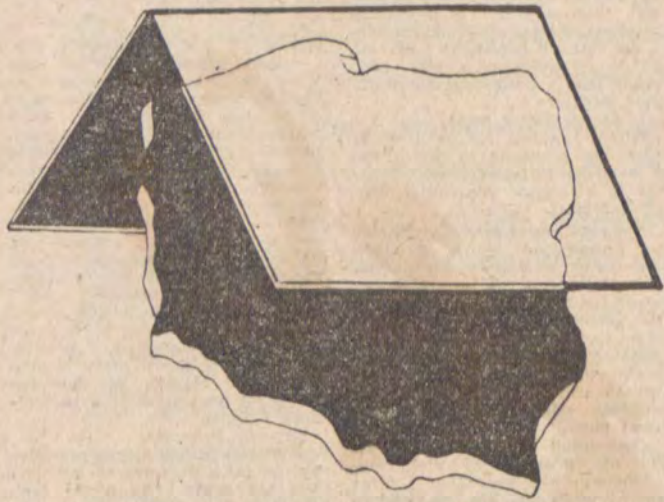
Dalej: Jeśli chodzi o hymn, to ja osobiście uważam hymn „Legii” za lepszy od hymnu „Górnika”.

Poza tym A. Makowiecki pisze, że zwycięstwa „Legii” „kwitują zjadliwą ironią”. Czyżby rzeczywicie mecz z AC Milan, mimo niezakwalifikowania się do następnej rundy, kwitowany był „zjadliwą ironią”? Czy rzeczywicie za przegrana z „Dynamem” Kijów „Górnika” otrzymał sowitą ciechę? Śmiejcie się, twierdźcie, jak chcecie.

Na zakończenie jeszcze jedno plus, dzięki któremu „Górnika” cieszy się większą sympatią niż „Legia”, gra przyjemnie dla oka, bardziej finezyjnie niż „Legia”. Legionści — to piłkarze-ziemleńczy. Górnicy — to piłkarze-artysty.

ZDZISŁAW SEKULAŚ
Skierwice

MIESZKANIE



(Dalszy ciąg ze str. 1)

Takich rozmów można przytoczyć dziesiątki. O mieszkaniach mówi się wszędzie i zawsze. Jedni bowiem czekają na mieszkanie, inni już je otrzymali, inni dopiero zapisują się do spółdzielni mieszkaniowej, a jeszcze inni myślą już o zamianie mieszkania, bo to, które przed laty było szczytem marzeń, dziś okazało się za ciasne, jako że rodzina powiększyła się, a i dobytku znacznie przybyło.

Mieszkanie jest problemem nr 1 nie tylko zresztą w Łodzi. A rzeczywistość jest taka, że mimo wzrostu tempa budownictwa coraz więcej ludzi będzie starało się o mieszkanie, bo — jak twierdzą statystycy — wyż demograficzny zaczął nam się żenić. Odczuwamy to również w Łodzi, gdzie w związku z modernizacją miasta mamy jeszcze dodatkowy problem — zapewnienia mieszkań dla ludzi wykwaterowywanych z burzonych domów. I choć budujemy dużo: w 1972 roku — 26 tys. izb, w 1973 — 28,4 tys. izb, a w 1974 — 31,9 tys. — to mieszkań ciągle brakuje, to na mieszkania ciągle jeszcze trzeba długo czekać.

W redakcyjnej rozmowie na temat tego ważnego problemu udział wzięli: KAZIMIERZ GROMEK — prezes RSM „Lokator”, MAREK OSYSEK — wiceprezes RSM „Polesie”, STEFAN WYSZYŃSKI — prezes RSM „BAWEŁNA” oraz BOGDA MADEJ, JERZY WILMAŃSKI i LUCJUSZ WŁODKOWSKI — „Odgłosy”.

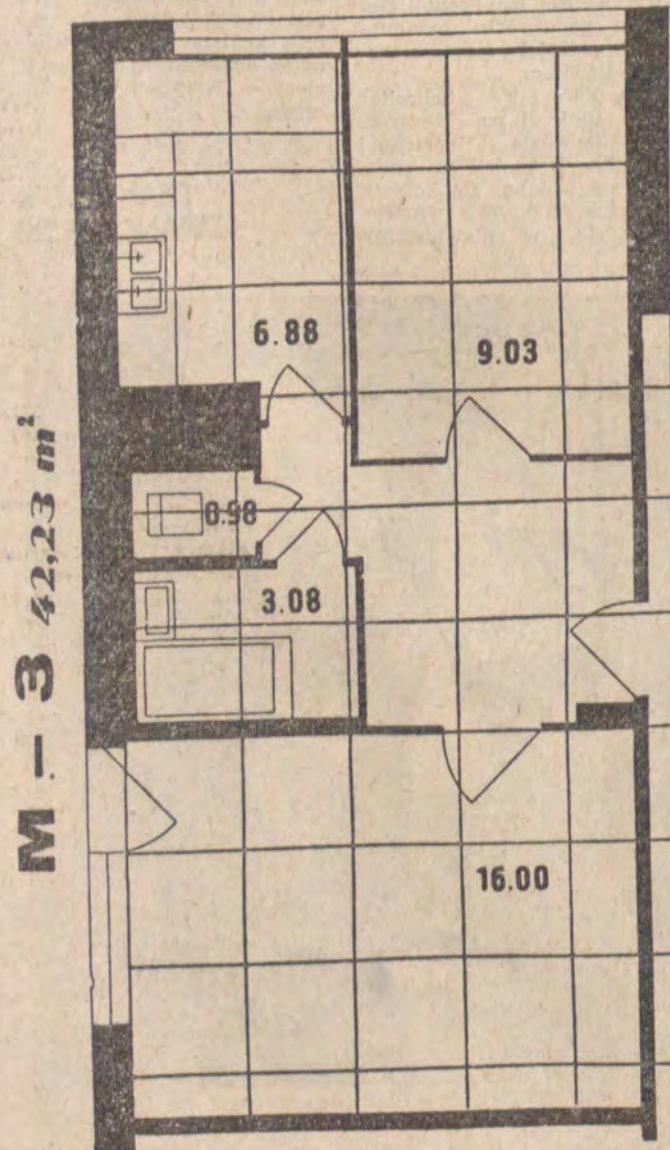
GDZIE BUDUJĄ?

„ODGŁOSY”: — Wiadomo, że w tym roku zbuduje się w Łodzi blisko 28,5 tys. izb, ale gdzie i ile da każda z waszych spółdzielni?

M. OSYSEK: — My budujemy Retkinie. W tym roku

damy 29 budynków, w których będzie 1800 mieszkań z 6200 izbami.

S. WYSZYŃSKI: — My w tym roku damy około 1500 mieszkań z przeszło 4,5 tys. izb. Kończymy budowę osiedla Zarzew i rozpoczniemy budowę nowego osiedla Czerwony Rynek.



K. GROMEK: — „Lokator” odda w 1973 roku nieco więcej ponad 3,9 tys. izb, to jest około 1300 mieszkań. Kończymy budowę osiedli na Teofilowie, w latach następnych budować się będzie prawdopodobnie Teofilów D. Rozpoczęliśmy też budowę osiedla Zgierska — Stefana.

„ODGŁOSY”: — Poza „Polesiem”, które z roku na rok będzie budowało więcej, inne spółdzielnie mieszkaniowe budują mniej — jak wiadomo — w przyszłym roku też nie oddadzą więcej nowych mieszkań.

K. GROMEK: — Ale ilość mieszkań w całym mieście znacznie się zwiększy. Nie jest to więc spadek tempa budownictwa mieszkaniowego.

S. WYSZYŃSKI: — Różnie udział budownictwa rad narodowych. W związku z porządkowaniem urbanistyki w mieście trzeba, czy to w trakcie wyburzeń, czy w ramach polityki poprawiania warunków życia, dawać mieszkania rodzinom, w których zarobek na osobę nie przekracza granicy tysiąca zł miesięcznie.

Ale proszę nie myśleć, że na przykład dla „Bawełny” te dwa lata zmniejszonego tempa budownictwa będą okresem wytchnienia. Przeciwnie. W tym czasie musimy przygotować wszystko, co niezbędne pod budowę nowego osiedla Widzew — Wschód. Chcemy, aby było to osiedle dobrze przygotowane i wzorowo budowane.

CZEGO NIE LUBIĄ BUDOWLANI?

„ODGŁOSY”: — Czy tak, jak miało być z Retkinie? Bo skończyło się tylko na dobrych chęciach.

M. OSYSEK: — Retkinia miała być osiedlem 100-tysięcznym, ale obecnie budujemy osiedle dla 75—80 tys. osób. A stało się tak ze względu na rozluźnienie normatywu urbanistycznego, tzn., że na tej samej powierzchni będzie znacznie mniej domów, a obszar między nimi można będzie wykorzystać i racjonalnie, i z pożytkiem dla mieszkańców Retkinie.

„ODGŁOSY”: — To na pewno słuszne. Na przykładzie choćby kolejnych osiedli Teofilowa dokładnie widać, jak zmieniały się normy w urbanistyce, a wiazało się to przecież z określonymi etapami polityki społecznej. Ale ta korzystna zmiana w urbanistyce nie ma wpływu na tempo budowy tego, co decyduje o wyposażeniu osiedli i co powinno powstawać, jeśli już nie z wyprzedzeniem, to przynajmniej równoległe z domami mieszkalnymi. Ot, tak, jak to dzieje się na osiedlu Stegny w Warszawie.

M. OSYSEK: — Zgoda, ale znana jest niechęć budowlanych do budowy pawilonów, żłobków, bibliotek itp. gdyż wznosi się je tradycyjnymi metodami, a to pochłania masę czasu tak potrzebną przy budowie i wykończeniu mieszkań. Skutek tego jest taki, że na Retkinie oddaliśmy mieszkanie na skłen.

„ODGŁOSY”: — Wyjściem jest chyba i prefabrykacja w tzw. budownictwie ogólnym i powołanie specjalistycznego przedsiębiorstwa, które zajęłoby się tylko tego typu budownictwem.

Ale do spraw osiedla i jego funkcji będziemy mieli jeszcze okazję powrócić. Zastanówmy się teraz nad tym, co robi łodzianin, który już otrzymał nowe mieszkanie.

Zainteresowanie nowym mieszkaniem można podzielić

na trzy etapy. Pierwszy — to kontakt ze spółdzielnią, starania o mieszkanie i targi o skrócenie terminu oczekiwania. Drugi — to zainteresowanie mieszkaniem już w okresie otrzymania obietnicy przydziału, a więc w jakim osiedlu, w jakim bloku, jak wyposażone?

Proponujemy zajęcie się tym właśnie etapem. Co może spółdziałca otrzymać w okresie zainteresowania się mieszkaniem?

M. OSYSEK: — A etap trzeci?

„ODGŁOSY”: — Etap trzeci — to okres zainteresowania się już osiedlem. Do tego powrócimy później.

Teraz może pytanie: co ma zrobić spółdziałca, gdy otrzyma przydział na mieszkanie, który mu nie odpowiada, bo z takich czy in-

nych „ODGŁOSY”: — I nie ma żadnych trudności?

S. WYSZYŃSKI: — Oczywiście, że są. Wynika to ze struktury budowanych mieszkań. Na przykład teraz, kiedy dajemy mieszkania ludziom z burzonych małych domów, to mało kto bierze mieszkania typu „M-5”, są chętni na „M-4”, ale też mniej niż można było się spodziewać, a natomiast najwięcej osób chce mieszkania typu „M-3” i „M-2”. A swego czasu zapadła decyzja o budowie w Łodzi dużych mieszkań. I słusznie, tylko wtedy nie przewidziano, że przyjdzie kłopot z wyburzeniami.

M. OSYSEK: — „Polesie” nie ma na przykład w tej chwili na Retkinie mieszkań typu „M-2”, będziemy je budowali dopiero w tym roku

wszym piętrze i inne ich nie interesuje. To już lekka przesada, bo my nie zawsze możemy takie życzenie spełnić, jeśli nie jest na przykład podyktowane względami zdrowotnymi lub wiekiem.

W NOWYM MIESZKANIU

„ODGŁOSY”: — Mamy już przydział, spółdzielnia załatwiła wszystkie nasze życzenia, dostajemy klucze. I wchodzimy do mieszkania. Był czas, że w mieszkaniu była obudowa kuchni i wmurowane szafy w przedpokoju. Dziś mówi się o podniesieniu standardu wyposażenia mieszkań. Może raczej trzeba mówić o powrocie do poziomu z poprzednich lat?

K. GROMEK: — To może nie tak. Istotnie, dawaliśmy kiedyś mieszkanie lepiej wyposażone, ale przez ten czas coś się zmieniło. Przede wszystkim skład spółdzielców. Dzisiejsi spółdziałcy, to już nie są ludzie z wyboru, którzy przychodzili do spółdzielni, bo liczyli na lepsze mieszkanie, bo ich było na to stać. Dzisiejsi spółdziałcy, to w większości ludzie z „nakazu”. Zarabiasz powyżej 1000 zł na osobę w miesiącu, potrzebujesz mieszkania, to musisz iść do spółdzielni. To samo przy wyburzeniach. I ci ludzie nie zawsze chcą mieć lepiej wyposażone mieszkania. Czy my musimy ich uszczęśliwiać na siłę? Przecież wyższy standard kosztuje. Dziś już nikt nie daje tego za darmo.

„ODGŁOSY”: — I słusznie. Ale nam chodzi o to, aby ten spółdziałca, który chce lepiej wyposażone mieszkanie mógł sobie to załatwić w spółdzielni. Płacąc oczywiście dodatkowo za te urządzenia, które nie wchodzi obecnie w skład standardowego wyposażenia.

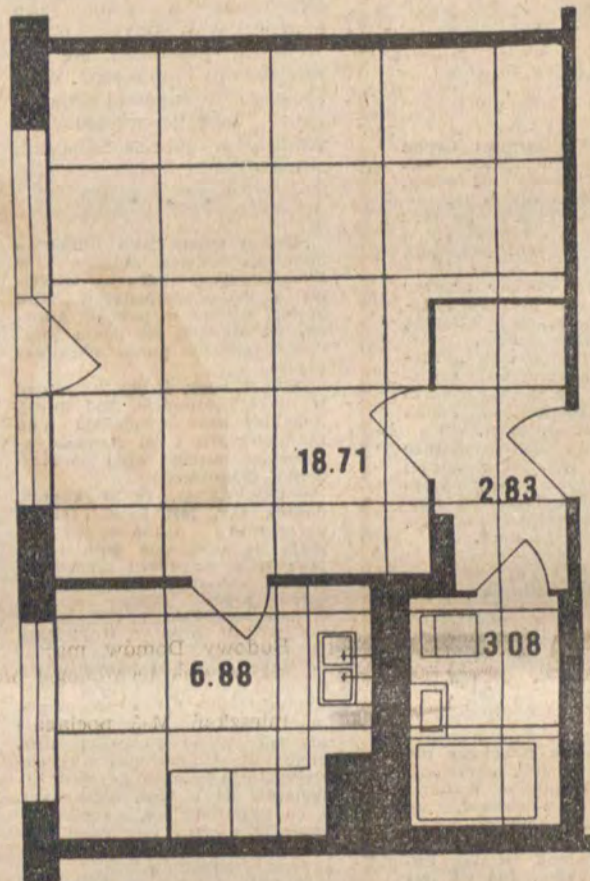
S. WYSZYŃSKI: — I to jest możliwe. Każda spółdzielnia posiada meble do wbudowania. Trzeba tylko zwrócić się do spółdzielni i wyrazić swoje życzenie. Spółdzielnia może wykonać teraz różne prace z materiałów jej powierzonych. Na przykład ktoś ma glazurę i chce obudować sobie łazienkę czy kuchnię. Spółdzielnia da ludzi, którzy to zrobią, ale trzeba będzie za to zapłacić.

M. OSYSEK: — W systemie szczecińskim, którym budujemy Retkinie, zlewozmywaki w kuchni są już obudowane, bo tego wymaga ich konstrukcja. Obudowujemy wannę i umywalkę w łazience oraz nad wanną i umywalką dajemy pasek glazury. To wszystko wynika już z technologii. Tak więc uważam, że dalszy rozwój technologii będzie sprzyjał podwyższaniu standardu wyposażenia mieszkań.

K. GROMEK: — Mogą być czasem kłopoty z dokładnym zaspokojeniem życzenia spółdziałcy. Po prostu możemy nie mieć tego na składzie, czego akurat chce spółdziałca. Wtedy trzeba poczekać.

A JAK BĘDĘ ZAMIENIAŁ MIESZKANIE?

„ODGŁOSY”: — Spółdzielnica urządza sobie mieszkanie, bo chce mieć je ładne, wygodne i odpowiadające jego gustom. Ale pewnego dnia musi je zostawić lub zamienić, bo nie ze swojej winy musi przenieść się do innego miasta lub do innej dzielnicy. Co wtedy z kosztami, jakie poniosł dla podwyższenia standardu swego mieszkania?



nych względów chciałby mieszkać w innym osiedlu, a to osiedle należy do innej spółdzielni?

ZANIM OTRZYMASZ MIESZKANIE

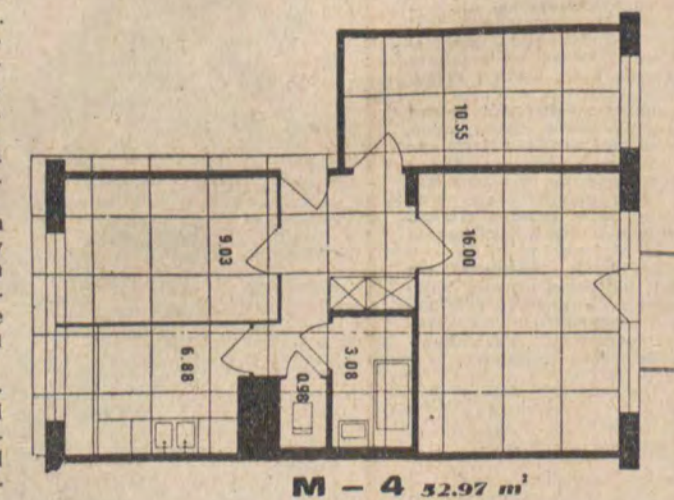
K. GROMEK: — To wtedy spółdzielnia na wniosek zainteresowanego dochodzą między sobą do porozumienia w sprawie wymiany mieszkania i jeśli to jest możliwe, spółdziałca otrzymuje je zgodnie z życzeniem.

M. OSYSEK: — Czasem wystarczy tylko telefoniczna rozmowa pracowników spółdzielni i druga spółdzielnia rezerwuje takie mieszkanie, jakie jest potrzebne.

i to tylko około 10 proc. wszystkich budowanych na Retkinie mieszkań.

K. GROMEK: — Spółdzielnia mimo to stwarzają możliwości wyboru, bo rozumiemy, że mieszkanie to sprawa na całe życie. Może jeszcze nie wszyscy wiedzą o takich możliwościach i stąd nieporozumienia. Ale też trzeba powiedzieć, że w tym działaniu i ze strony spółdziałcy musi być dobra wola. Jeśli on pragnie zaspokoić swoje wymagania, a my mu to możemy zapewnić, ale w późniejszym terminie, to trzeba dokonać wyboru. I wielu takiego wyboru dokonuje.

M. OSYSEK: — Bywają jednak i tacy, którzy chcą mieszkanie tylko na pier-



Plany mieszkań w systemie szczecińskim

W SPÓŁDZIELNI

S. WYSZYŃSKI: — Spółdzielnia informuje swoich członków, że w mieszkaniu nie wolno samodzielnie dokonywać żadnych przeróbek. W przypadku, kiedy spółdziałca nie zastosuje się do tego, musi w momencie przekazywania mieszkania doprowadzić je do stanu pierwotnego.

M. OSYSEK: — Takie samodzielne przeróbki mogą też doprowadzić do niebezpieczeństwa, jeśli ktoś zdecyduje rozbić na przykład ściankę konstrukcyjną.

S. WYSZYŃSKI: — Ale jeśli spółdziałca zgłosi u nowocześnieść, czy udoskonalenie swego mieszkania,

M. OSYSEK: — Na Retkini właśnie z tego powodu musieliśmy zrezygnować z takiej wystawy, choć byłaby ona konieczna.

S. WYSZYŃSKI: — Rozwój budownictwa będzie nieuchronnie zmuszał do podnoszenia standardu. Będziemy musieli przejść na fabryczną produkcję na przykład całych kuchni, tak jak już w systemie szczytnickim prefabrykuje się łazienki i ubikacje.

Prefabrykacja przyczyni się do zmniejszenia pracochłonności, a wiadomo, że wykończenie mieszkań najbardziej absorbują załogi przedsiębiorstw budowlanych.

mam najmniejszych wątpliwości — będą brali tylko takie mieszkania, na jakie jest ich stać.

„ODGŁOSY”: — Istnieje zresztą cały zestaw „furek”, które pozwalają uchylić normatyw. Do dodatkowej powierzchni mają prawo nauczyciele, dziennikarze, literaci, ludzie chorzy na określone choroby, matka z dziećmi, jeśli rodzeństwo jest odmiennej płci, emeryci. Stworzono więc wiele możliwości niestosowania normatywu. A skoro jakieś prawo jest tak sformułowane, że życie zmusza do jego korygowania, to wszystko wskazuje na to, że prawo jest złe.

M. OSYSEK: — I my jesteśmy takiego zdania, ale decyzje nie należą do nas.

JAKICH MIESZKAŃ CHCĄ LUDZIE?

K. GROMEK: — Kiedy mówi się o normatywie, to wszyscy zaraz myślą, że ludzie chcą brać więcej niż im przysługuje. W istocie jest inaczej. Bardzo często ludzie nie korzystają z formalnie przysługujących im możliwości zwiększenia powierzchni swego mieszkania, bo ich na to po prostu nie stać. Mamy takie wypadki, że komuś przysługuje M-4, a on przechodzi i prosi o M-3. To spółdzielnia bardzo komplikuje życie, bo akurat mamy sporo mieszkań M-4, a brakuje mieszkań mniejszych.

M. OSYSEK: — „Polesie” bardzo chętnie zamienia ludziom z M-3 na M-4, jeśli mają do tego uprawnienia. Wynika to stąd, że budynki wznieszone w systemie szczytnickim przez Kombinat Budowy Dómw mają ujętą technologię, która powoduje, że budowa mieszkań M-3 pociąga za sobą konieczność budowy takiej samej ilości mieszkań M-4. Natomiast zapotrzebowanie na M-4 jest znacznie mniejsze. I również dlatego jesteśmy za zniesieniem normatywu, który w tej sytuacji utrudnia przydział mieszkań M-4.

S. WYSZYŃSKI: — Myślę, że ci, którzy dziś czekają na mieszkanie, a dostaną je dopiero za kilka lat, zawsze mają możliwość dokonania korekty zgodnie z ich potrzebami i przysługującym im prawem.

Ale przy tym uwaga: już od tego roku biura projektowe mają zalecenie projektowania mieszkań o innych powierzchniach, które będą budowane po 1975 roku.

K. GROMEK: — Mogę przykładowo podać, że M-2 będzie miało do 40 m kw. powierzchni użytkowej, M-3 — do 52 m kw., M-4 — do 64 m kw., a M-5 — do 72 m kw.

M. OSYSEK: — Przy czym M-4 będzie miało 4 pokoje, a obecnie ma 3. Retkinią budujemy, jak już mówiłem, systemem szczytnickim. Tu już też występuje zwiększony normatyw. M-3 ma 42,5 m kw., a M-4 — 53 m kw.

Ale przy tej okazji obserwujemy ciekawe zjawisko. Ludzie niemal masowo występują o zmianę mieszkania z M-4 na M-3, bo powierzchnia M-3 w nowych technologiach wynosi obecnie mniej więcej tyle, ile poprzednio w M-4. I to przy lepszej funkcjonalności mieszkań. No i nie bez znaczenia jest również wysokość czynszu.

„ODGŁOSY”: — To tylko jeszcze raz potwierdza, że obowiązujący normatyw jest już niepotrzebny. I im większe mieszkania będziemy budowali, tym szybciej będziemy musieli coś z tym normatywym zrobić. Zresztą

wszyscy dobrze wiemy, że ludzie często, aby tylko mieć prawo do większej ilości pomieszczeń, meldują u siebie pomoc domową, lub ciotkę czy babcię. Tolerowanie fikcji i zmuszanie ludzi do szukania wybiegów w konsekwencji odnosi tylko ujemne skutki wychowawcze.

Ale normatywu to nie jest tylko sprawa mieszkania. To także sprawa osiedla. Im gęściej będzie zaludnione osiedle, tym więcej potrzeba miejsca na jego wyposażenie. A tu przecież też obowiązują określone normy.

JAKIE BĘDĄ OSIEDLA?

M. OSYSEK: — Oczywiście, że tutaj też obowiązują normy. Handel i usługi kierują się wielkościami, przypadającymi na 1000 osób. Postuluje się obecnie, aby normy te zwiększyć o 100 proc. Ale moim zdaniem nie musi się to koniecznie odnosić do samego osiedla. Zwiększenie normatywu handlowo-usługowego, jeśli będzie dotyczyło całego miasta, to będzie miało pozytywne skutki również i na każdym osiedlu.

„ODGŁOSY”: — Zainteresowanie się osiedlem jest tym trzecim etapem w problemie mieszkaniowym, kiedy człowiek ma już mieszkanie, kiedy ma je tam, gdzie chciał i takie, jakie chciał. Teraz ma już czas wyjść przed dom i rozzejrzeć się po osiedlu. Zastanawia się, gdzie będą bawiły się jego dzieci, gdzie będzie kupował, chodził do kina, czy kawiarni i jak daleko ma do przystanku tramwajowego, autobusowego i postoju taksówek.

Mieliśmy okazję na przykład spotkać się z pytaniem: gdzie w takim małym mieszkaniu zrobić duże imiennik, albo nawet ślub, jeśli syn czy córka będą zmieniać stan cywilny.

S. WYSZYŃSKI: — Na Zarzewie jest już „Zarzewianka” z salą bankietową i — jak wiemy — jest zajęta niemal we wszystkie soboty.

M. OSYSEK: — Na Karolewle „Słoneczna” też jest zajęta w każdą sobotę. Ale ja powtarzam, że w wypadku zwiększenia normatywu dla handlu, gastronomii i usług, kiedy ilość placówek przypadająca na 1000 osób będzie większa, zupełnie inaczej będzie wyglądało i zaopatrzenie osiedla w różnego typu instytucje towarzyszące. W końcu jaka jest różnica, czy z USC pojedzie się taksówką do „Haliki” czy do „Zarzewianki”.

NIC BEZ SPÓŁDZIELCÓW

S. WYSZYŃSKI: — Chciałbym, żebyśmy uniknęli nieporozumień. Spółdzielczość mieszkaniowa — już choćby z nazwy — powołana jest do budowy mieszkań. Buduje je za pieniądze swoich członków. „Bawelna” ma osiedla na Dąbrowie i Zarzewie, gdzie będzie mieszkać przeszło 50 tysięcy osób.

„ODGŁOSY”: — To już duże miasto powiatowe.

S. WYSZYŃSKI: — Tak, ale „Bawelna” jest jedynym współpartnerem przy budowie tego miasta, a nie jedynym inwestorem. Istniała kiedyś koncepcja, aby spółdzielnia była generalnym inwestorem całego osiedla, a w przypadku budowy szkół, żłobków, pawilonów handlowych i usługowych — była inwestorem zastępczym. Jak do tej pory nie ma decyzji, która czyniłaby ze spółdzielni generalnego inwestora. I nie wiem, czy będzie. W tej sytuacji zasadniczy współ-

dział przy budowie każdego osiedla mają władze miasta. Koncepcja osiedla powstaje w MKPG. Ale spółdzielnia, która w osiedlu będzie budowała mieszkania, nie zawsze jest zapraszana do dyskusji. Koncepcja



KAZIMIERZ GROMEK
Czy my musimy ich uszczęśliwiać na siłę? Przecież wyższy standard kosztuje...

powstaje więc w oparciu o obowiązujące normy dla przedsiębiorstw handlowych, usługowych, dla oświaty i kultury. Na 1000 ludzi powinno być tyle i tyle takich to a takich sklepów, tyle miejsc w kawiarniach, kinach itp.

M. OSYSEK: — Dlatego uważam, że zmiana tego normatywu wiele by pomogła.

S. WYSZYŃSKI: — Nie wiem, czy stać nas już w tej chwili na zmianę tych norm. Wiem natomiast, że spółdzielnia, na końcu dowiaduje się, ile i czego będzie miała w osiedlu. W każdym razie ma możliwość



MAREK OSYSEK: „I my jesteśmy takiego zdania, ale decyzje nie należą do nas...”

wystąpienia o korektę, jeśli uważa, że to, co proponuje miasto, jest niewystarczające.

„ODGŁOSY”: — I występuje?

S. WYSZYŃSKI: — Tak, ale to nie zawsze odnosi spodziewane skutki, bo nie zawsze są do końca zgrane plany budowy osiedli. Na przykład na Dąbrowie nie ma jeszcze ośrodka zdrowia, ale i służba zdrowia nie opracowała założeń techniczno-ekonomicznych dla tego typu ośrodka, a to na skutek zmian koncepcji co do wielkości i lokalizacji. Cóż więc z tego, że my postulujemy?

„ODGŁOSY”: — Ale mieszkańcy mają pretensje do spółdzielni?

M. OSYSEK: — A gdzie i do kogo mają mieć? Im mieszkanie dała spółdzielnia, administracją osiedla zajmuje się spółdzielnia, a na dodatek spółdzielca sądem osiedlową powołuje się na miejsce komitetu blokowego.

S. WYSZYŃSKI: — „Bawelna” nie jest inwestorem przychodni i nie znajduje się ona na terenie spółdzielczym, tylko w miejskiej części Dąbrowy, poza tym „Bawelna” nie będzie też administrowała tą przychodnią.

M. OSYSEK: — Służba zdrowia twierdzi, że nie będzie budowała przychodni czy ośrodka zdrowia w pierwszym okresie powstawania osiedla, bo jej się to nie oplaci.

K. GROMEK: — Z punktu widzenia rentowności nie można im odmówić racji.

PUSTE OSIEDLA

M. OSYSEK: — Zgoda, tylko, że tempo budowy, na przykład Retkini, jest już znacznie szybsze, niż tempo budowy innych osiedli. W ubiegłym roku oddaliśmy do użytku 560 mieszkań, w tym roku mamy 1800 mieszkań, w przyszłym roku — przeszło 3000.

„ODGŁOSY”: — Prosty rachunek wskazuje, że do końca 1974 roku oddacie do użytku blisko 5.500 mieszkań. Jeśli przyjąć, że średnio na jedno mieszkanie przypada 3,5 osoby, to w 1974 roku na Retkini powinno mieszkać około 20.000 osób. Do tego czasu powinno tu już być ośrodek zdrowia, żłobek, szkoła, przedszkole.

K. GROMEK: — Spółdzielcy przychodzą nas pytać, dlaczego w osiedlu nie ma jeszcze ośrodka zdrowia, wystarczającej ilości sklepów, punktów usługowych itp.

„ODGŁOSY”: — Rozumiemy, że spółdzielnie postulują, aby mogły brać udział przy opracowywaniu koncepcji osiedla.

S. WYSZYŃSKI: — Nie tylko. Powinniśmy mieć też możliwość decydowania o kolejności budowania poszczególnych zespołów handlowo-usługowych w osiedlu. Mieszkańcy Zarzewa pytają np. dlaczego wybudowano pawilon usługowy, a nie wybudowano potrzebnego sklepu.

„ODGŁOSY”: — Podobnie pytano kiedyś na Karolewle i gdzie indziej.

K. GROMEK: — Decydują, niestety, moce przerobowe przedsiębiorstwa budowlanego, albo i projektant, który ma gotowy projekt kawiarni z restauracją, a nie ma akurat projektu pawilonu handlowo-usługowego.

S. WYSZYŃSKI: — I to tylko potwierdza, że spółdzielnia, która kieruje się interesem mieszkańców, powinna być obecna przy ustalaniu kolejności budowania poszczególnych pawilonów.

„ODGŁOSY”: — Miejmy nadzieję, że już inaczej będzie przy powstawaniu Wdżewa — Wschód, które to osiedle ma być budowane wzorowo.

Sądziłbym wprawdzie, że w dyskusji o osiedlu, uda nam się spojrzeć perspektywicznie i odpowiedzieć sobie i Czytelnikom na pytanie, jakie ono powinno być za lat kilka, czyli jaki jest ideał osiedla spółdzielczego. Okazuje się jednak, że lepiej nie przeszkakiwać kolejnych etapów i porozmawiać o bieżących sprawach, które najpierw trzeba rozwiązać.

Mamy zresztą nadzieję, że to nie jest nasze jedyne spotkanie, którego tematem jest MIESZKANIE WSPÓŁDZIELNI.

Mamy też nadzieję, że i Czytelnicy wypowiedzą się na ten sam temat, do czego ich serdecznie zapraszamy i zachęcamy.

Oprac: B. MADEJ
Foto. L. OLEJNICZAK



STEFAN WYSZYŃSKI: „Nie wiem, czy stać nas już w tej chwili na zmianę tych norm...”

jeśli administracja je zarejestruje, to w momencie wyprzedania się, po obliczeniu amortyzacji, następcą płaci odchodzącemu określona suma pieniędzy. I nikt tu nie traci.

DROGA DO WYŻSZEGO STANDARDU

K. GROMEK: — Przy okazji powracamy do problemu współczesnego spółdziałcy. Skład członkowski spółdzielni jest już bardzo zróżnicowany. Zdarzyło się nam i tak, że spółdziałca przyszedł i powiedział, zabierzcie sobie te meble, coście je założyli, a mnie oddacie pieniądze. Bo wprowadził się do mieszkania po kimś, kto kazał sobie te meble wbudować.

M. OSYSEK: — W staraniach o wyposażenie mieszkania można byłoby pójść dalej i na przykład w porozumieniu z „Eldorem”, a na życzenie członka spółdzielni, instalować w określonych mieszkaniach określone typy łóżek.

S. WYSZYŃSKI: — Zapewne. I chyba kiedyś dojdzie do tego, ale na razie mamy kłopoty z meblami, które nagromadziliśmy. Sprzedajemy już je detalicznie. A poza tym — wspólnie z „Domusem” — zrobiliśmy wystawę — kiermasz. My pokazaliśmy meble kuchenne i do przedpokojów, a „Domus” wyposażał mieszkania typu M-2, M-3, i M-4 w meble do pokojów. Wszystkimi to się bardzo podobało, ale mogliśmy sobie pozwolić, aby wystawa czynna była tylko przez miesiąc. Zajęliśmy przecież wolne mieszkania.

Przy prefabrykacji można będzie tańszymi kosztami montować większą ilość urządzeń. Na przykład w Związku Radzieckim — właśnie z braku ludzi do układania płytek czy klepek — zastosowano metodę wyklejania pokoi specjalnymi dywanami. Szybkie to, a jednocześnie zapewnia wyższy standard.

W miarę rozwoju budownictwa zniknąć będą różnice w wyposażeniu mieszkań.

O „NORMATYWACH” INACZEJ

„ODGŁOSY”: — To dobrze, że spółdzielczość widzi różnicowanie występujące wśród spółdziałców. Różny stan majątkowy rodziny bowiem różne wymagania. Ale to powinno dotyczyć również wielkości mieszkań. A tego nie bierze się pod uwagę. Członek spółdzielni, jeśli mu nie wyburzają obecnego mieszkania, będzie czekał w kolejce do 10 lat. Czy przez ten czas norma powierzchni mieszkaniowej nie ulegnie zmianie?

Po drugie — rewizji wymaga stosunek do tych, którzy decydują się na mieszkanie własnościowe. Jeśli stać ich na kupno większego mieszkania, to trzeba dać im tę możliwość.

M. OSYSEK: — Nawet przy zakupie mieszkania własnościowego normatyw obowiązuje nadal i nie można go uchylić.

„ODGŁOSY”: — Co jest już oczywistym nonsensem.

K. GROMEK: — Naszym zdaniem — mam na myśli ludzi pracujących w spółdzielczości mieszkaniowej — sytuacja dojrzała już do tego, aby znieść normatyw. Ludzie — co do tego nie

JERZY WILMAŃSKI

„Polska nie dzieli się na Polaków zwyciężonych i zwycięzców, ale tylko na Polaków” — słowa te wypowiedział Stanisław Cat-Mackiewicz w roku 1956 na warszawskim lotnisku, gdy, po latach, doszedł do wniosku, że miejsce Polaka jest w Polsce. W tym samym roku 1956 i później wielu innych, mieniących się Polakami, odlatywało z tego samego lotniska na Zachód.

Stanisław Cat-Mackiewicz nie zawsze chadzał drogami szustnymi, ale nigdy nie szukał dróg łatwych. Nie była z pewnością łatwa decyzja powrotu do kraju, ale była to decyzja uczciwa, gdy Mackiewicz doszedł do wniosku, że oparcie Polska może tylko na Wschodzie, że Zachód zawiodł Polskę nie raz i mariaż ten Polsce nie da.

Z tego przekonania zrodziła się ostra, kontrowersyjna książka „Londyniszczanie”, którą pewne środowiska przyjęły z oburzeniem. Pisał o tym Mackiewicz w roku 1957:

„Artykuły te były jak najgorzej przez polską publiczność krajową przyjęte. Ten fakt upokarza mnie nie jako pisarza, ale jako Polaka. Pretensje bowiem w stosunku do „Londyniszczan” polegały na tym, że się wyrażałem niepochlebnie o Anglikach, Anglia pchnęła nas do wojny, która nam przyniosła klęskę, Anglia nie dotrzymała nam traktatów zarówno tych, które podpisane były jawnie, jak i tych, które podpisane były tajnie, Anglia w stosunku do krwi polskiej stosowała zupełnie inny rachunek niż w stosunku do krwi angielskiej, jawnie uważając w ten sposób nas za rodzaj rasy niższej, wręcz Anglia za pomocą swoistej buchalterii zatrzymała polskie złoto, Polska publiczność jest bardziej czuła na krytykę Anglii niż na krytykę Polski...”.

Nie były łatwe losy tego działacza POW, konserwatysty i posła z ramienia BBWR, który myślał samodzielnie i głośno, aż w marcu 1939 roku znalazł się jako więzień w Berezie Kar-

tuskiej. Był przeciwnikiem gen. Władysława Sikorskiego na emigracji, był, już po wojnie, premierem londyńskiego „rządu”. W roku 1956 wrócił do Polski i tu powstało osiem jego może najcenniejszych — książek.

Ale kiedy dziś wertujemy tom jego publicystyki z lat trzydziestych, uderza nas ostry sędziowski, wnikliwy i odwaga i zaczynamy rozumieć rzecz pozornie surrealistyczną... Jak ten konserwatywa i monarchista mógł w końcu swej politycznej kariery dwudziestolecia międzywojennego trafić do Berezy Kartuskiej?

Pisał w roku 1936, na marginesie jakiegoś bzdurnego procesu o rękoma obrazu armii (ktos rzucił parę „choler” bo w czasie ćwiczeń wojskowych, nie mógł na dworcu dostać taksówki):

„Doszedłem jednak do przekonania, że największą, gigantyczną wadą naszego narodu, naszego społeczeństwa jest skłonność do pozycji, faryzeuszostwa, zakłamania. Obawiam się tego artykułu 127 k. k. Mniejsza tam o ten incydent na dworcu, który nauczył pana Kiepurę oglądać się, czy nie ma jakiego patriotę w pobliżu, kiedy się chce wycholerować na korytarzu w wagonie; ale przecież gdyby ten art. 127 działał za czasów Zygmunta III, ks. Skarga dostałby zapewne 6 miesięcy z zawieszaniem, za czasów Ludwika Filipa, Słowacki otrzymałby swoje cztery miesiące za „Polsko! pawiem narodów bytała i papuga”, a Wyspiański 8 miesięcy bez zawieszania za „polskie brudy, podłość, kłam, znam, zanadto dobrze znam”. A nie wiem,

czy jednak Skarga nie był i w swoich intencjach, i w skutkach swej działalności bardziej pożyteczny od tego jegomościa z Jarosławia, który bohaterował w tym procesie i który reprezentuje psychologię jakże niestety panującą coraz bardziej w Polsce”.

I drukował w „Słowie” takie rozważania:

„Gdyby prof. Axentowicz żył w Sowietach, to otrzymałby list tej treści:

Z powodu trzydziestej piątej rocznicy waszej pracy na

narodowy? Pisze wówczas, że nie wyobraża sobie, aby Akademia Francuska i brukowy „Paris-Soir” urządziły tak półinteligentnie imprezy i pisze: „gdyby ktoś zaproponował, aby „Jeszcze Polska” zmienić na „Pierwszą Brygadę” — byłbym tej myśli przeciwny...”. Przy okazji przypina latkę „Rocze”, co na owe czasy też było aktem odwagi:

„W naszym oświetlonym repertuarze mamy istotnie pieśń, która wstyd nam przynosi, zastrzeżenie się przed

dowane. Toteż z działalności pana wojewody Bociańskiego w Wilnie jego następcy nie będą mogli korzystać, raczej będą musieli odrabiać jej skutki”.

Tą publikacją kończy się wybór przedwojennych prac Cata-Mackiewicza. Pozostała połowa książki to artykuły, rozprawy i felietony emigracyjne i te pisane już w Polsce Ludowej.

Druga pośmiertna książka Cata na pewno nie jest obiektywnym podręcznikiem historii najnowszej. Nie mia-

ganda równouprawnienia kobiet.

Różnica w stosunku do publicystyki jest bardzo znaczna, aczkolwiek są duże podobieństwa, podobnie, powiedzmy, jak pomiędzy historiozofią a filozofią historii.

Główna, ale nie jedyna różnica polega na tym, że publicysta w zasadzie jest samodzielny i tezy swoje wytwarza sam. Natomiast

propaganda z reguły polega na zespole przez kogoś kierowanym. To kierownictwo wydaje dyrektywy: podkre-

Kto mnie wołał, czego chciał...?

polu sztuki wynagradzam Was, Towarzyszu Teodorze Stanisławowiczu, Orderem Lenina i mianuję zasłużonym narodowym artystą ZSRR.

Życzę wam dalszych sukcesów w pracy artystycznej. Zasyłam proletariackie pozdrowienia.

Ścisnął Waszą dłoń Stalin

Ponieważ prof. Axentowicz jest obywatelem polskim, a pracą swoją i talentem na długie lata przed zdobyciem niepodległości państwową reprezentował naszą sztukę wobec obcych, otrzymał w dniu swym jubileuszowym z Warszawy następujące pismo:

Z dniem 1 września 1936 r. zwalniają Pana z zajmowanego stanowiska i stosownie do przepisów emerytalnych przenoszę Pana w stan spoczynku, Afeja Szucha Warszawa, Afeja Szucha podpis nieczytelny

Czyż nie było się podobać jego ostre pióro, gdy kipiał z konkursu ogłoszonego w roku 1935 przez Polską Akademię Literatury i „Express Czerwony” na... hymn

„pluciem w twarz” — hymn godny Murzynów sprzed Lincoln...”.

W przeddzień zesłania do Berezy, 25 marca 1939 roku, Stanisław Cat-Mackiewicz pisze dla „Słowa” artykuł „Wiek dwudziesty”, będący krytyką książki historyka prof. Szelażowskiego. Oczywiście nie ta publikacja była powodem zesłania, ale cała poprzednia działalność Mackiewicza.

Bereza nie stepiła pióra Cata. Niemal nazajutrz po opuszczeniu obozu pisze o wileńskim wojewodzie, Bociańskim:

„Wojewoda Bociański był niewątpliwie dobrym Polakiem, z tego nie wynika jeszcze, aby był dobrym wojewodą. Dobry Polak to warunek konieczny, ale nie jedyny. Urząd wojewody wymaga jeszcze specjalnych kwalifikacji, których, jak się zdaje, ptk Bociański nie posiadał. Męża stanu nie było w nim za grosz. Może byłby zresztą o wiele lepszy, gdyby instrukcje z Warszawy miały wyższy poziom. Ale jak się nam zdaje, były one chwiejne i niezdecy-

ła zresztą nim być i nie mogła. Ale jest na pewno świadectwem niezależności myśli i zdrowego rozsądku. I jest z pewnością — obok prac Wańkowskiej — podręcznikiem dziennikarstwa.

Więc na koniec te — pisane już w Polsce Ludowej — refleksje na temat propagandy i publicystyki:

„Sa to dwie rzeczy zupełnie różne, choć czasami w stosunku do propagandy używa się określenia publicystyka. Oczywiście terminologie zmieniać można zawsze do woli. Można nawet wola nazywać bykiem w podręcznikach zoologicznych i spowodować ogólną akceptację tej nazwy, z tym jednak, że to nie przywróci zdolności rozplodowych zwierzętom, które poprzednio nazywały się wolami.

Propaganda polega na tym, że szereg pisarzy artykułów w prasie broni swoim piórem pewnej tezy aktualnej, mającej większe znaczenie społeczne. Może być więc propaganda sprawy polskiej za granicą, albo propaganda za zniesieniem niewolnictwa, albo propa-

ganda — przemilczeć; słabiej — ostrzej — najostrzej; konsekwentnie — mniej konsekwentnie.

Informacja, publicystyka, propaganda są to wszystkie formy działania prasowego. Skuteczność ich działań zależy od właściwego uderzenia we właściwe struny uczuć ludzkich”.

W owe struny uczuć ludzkich umiał trącać mistrzowski Stanisław Cat-Mackiewicz. Jego pośmiertna książka jest podręcznikiem dziennikarstwa, nie z punktu widzenia tezy autora, dość często zresztą trącających myślką — pisze Barbara Rzepecka. Oczywiście nie tezy, zwierztałe czy nawet śmieszne stanowiska jej wartości, ale metoda pisarska, chwytająca na gorąco przejawy życia publicznego oraz samodzielność myśli.

Stanisław Cat-Mackiewicz „Kto mnie wołał, czego chciał...”. Wyd. PAX, 1972.

§

ROZBÓJNICZKI DWIE

Z męskiego punktu widzenia sprawa jest wstydliva i żenująca. Odwraca normalny porządek świata. Przecież to zawsze my, brutalni mężczyźni biliśmy kobiety, gwałciliśmy je i porywaliśmy. A tu na raz stanęły przed sądem dwie młode niewiasty, w pełni sił witalnych, oskarżone o rozbój dokonany na słabowitym mężczyźnie. Świat się kończy — jak by powiedziała pani Kropiwnicka, najpopularniejsza ostatnio kobieta w Polsce.

Oskarżone na rozprawie zostały doprowadzone z milicyjnego aresztu. Elżbieta i Zanetta — oto ich imiona własne. Obie długowłose i płowowłose, wiotkie, wysportowane, 19-letnie, wyhodowane na tranie, „Bobovicie” i westernach. Jedna ze wsi Rąbień, druga z miasta Aleksandrowa, miejscowości równie sepejnej jak pobliski bliźniaczy Konstantynów. Jedna bez pracy,

druga bezdzietna, ale za to obie bezcelne. 13 października ub. roku, a był to Międzynarodowy Rok Książki, wyszły po południu na malomiatęckowy spacer, taki spacer bez celu, ładny, składny i sensu. Po drodze tu i ówdzie strześliły sobie po jednym, żeby się im lepiej szło. Oczywiście po paru godzinach dotarły do restauracji „Kalinina”. Czas już był najwyż-

szy, bo poczuły suchość w gardle, znak, że miało alkoholowe upojenie. Zresztą nie fantazjujemy zbyttno, oddajmy lepiej głos samym bohaterkom. Słucha ich przecież doborowa publiczność, zebrana na sali sądowej. Jak w teatrze.

— Czy przyznajecie się do zarzuconego wam czynu? — pyta przewodnicząca kompletu sędziowskiego. — Czy przyznajecie się do pobicia Romana G.? Czy przyznajecie się do tego, żeście mu zabrały zegarek?

Oskarżona Elżbieta: — Ja do zarzuconego mi czynu się nie przyznaję. Owszem obecnie tu pana Romana poznałam w „Kalinie”, dokąd wstąpiłam, po południowym spacerze, na oranżadę. Zaproponował mi, żebym gdzieś poszła z nim, a nie będę tego żałować, dobrze mi zapłaci. W ślad za tym zaczął mnie oblać, wystraszając na mój ciele miejsca co bardziej kobiece. Nie

mogłam mu na to pozwolić i, co gorsza, nie mogłam sobie z nim poradzić, byłam zmuszona go uderzyć. Potem już nie mogłam nad sobą zapanować i zaczęłam go bić. Jak go uderzyłam — to upadł. Jak wstał — to dał mi w nos. To ja złapałam się za nos. Jak się puściłam za nos, to go już nigdzie nie było. Widocznie mu się towarzystwo przestało podobać, albo co.

— Czy oskarżona tego dnia piła?

— Eee, co to tam było za picie, może ze dwie pięćdziesiątki chlapanęłam. Mimo monej głowy, po wypiciu nawet jednego kieliszka kreci mi się. Przypominam sobie, że powiedziałam tylko do pana Romana: „Kąpnij na piwo”. Nie kąpnął, to ja go w bok, a on mnie w oko i w nos. Wysoki Sąd zapytuje, w jakie części ciała ja go kopałam. O, czegoś takiego to ja nie pamiętam.

Oskarżona Zanetta: — Do zarzuconego mi czynu się nie przyznaję, ja tylko zabrałam uszkodzowanemu zegarek marki „Rakieta” produkcji Związku Radzieckiego. Ja go też nie biłam, powiedziałam tylko: „Daj zegarek, bo bedziesz dalej biły”. I dał. Sam zdjął z ręki i dał. Co miał nie dać, jak go ponosiłam.

— Co oskarżona zrobiła z tym zegarkiem?

— Ja oddałam ten zegarek mojemu znajomemu, Franciszkowi K. To zoczy, chce powiedzieć, proszę Wy-

sokiego Sądu, że dałam mu właśnie ten zegarek na zawsze. Niech ma.

Poszkodowany Roman G.: — Wstąpiłem tego fatalnego dnia, był to piątek i trzynasty, do „Kaliny” z takim jednym znajomym na piwo. Podeszły tam do nas oskarżone i jedna z nich powiedziała: „Kąpnij mi”, na co ja odpowiedziałem, żeby sobie same kąpały. Wtedy one mi powiedziały, że mają do mnie ważny interes i żeby z nimi poszedł za węgiel domu, no to ja poszedłem. Jak poszedłem to dały mi w ucho i przewróciłem się, a jak leżałem, to mnie zaczęły kopać. Jak się ocknąłem, to sam szybko zdjąłem zegarek, oddałem i uciekłem do domu. Na milicję poszedłem dopiero na drugi dzień rano, bo wcześniej się bałem. U nas w Aleksandrowie już niejednego, co szedł na posterunek — w drodze zalatwiono. Chcę zauważyć, że jakieś dziesięć kroków od miejsca, gdzie zostałem zaatakowany, stała spora grupka osób, ale nikt nie interweniował. Słyszałem tylko głosy: „Brzytwą go, brzytwą”.

Można domniemywać, iż nie były to raczej głosy z zaświatów, lecz tubylcze, aleksandrowskie. Widok był niewątpliwie dla miejscowej gawiedzi rozkoszny, kiedy dwie rozwścieczone Erynie wdeptywały w ziemię słabego mężczyznę. Przed sądem zręcznie obie podzieliły się rolami. Jedna przyznaje się



Rys. K. Gruber

tylko do bicia, druga — tylko do rabunku. Najsurowiej bowiem sąd każe za pobicie z równoczesnym rabunkiem. Z uwagi na pewne niejasności, sąd postanowił sprawę zakończyć w późniejszym terminie. O wyroku nie o mieszamy w stosownej chwili doniesie.

Zresztą, czyż w tej sprawie wyrok naprawdę jest ważny?

KAROL BADZIAK



FILM

Tak określili swą koncepcję interpretacji „Wesela” Stanisław Wyspiański — scenarzysta filmu „Wesele”. Te koncepcje przejął reżyser filmu — Andrzej Wajda, twórca znany dotąd z tego, że dokonując adaptacji dzieła literackiego, a lubi te czynności uprawiać, nigdy do końca nie pozostawał mu wierny.

A „Wesele”? — „Wesele” w jego twórczości było już nie raz, było w „Popiele i diamencie” i we „Wszystkim na sprzedaż”, tak jak i było w wielu utworach polskiej sztuki poetyckiej, epickiej, dramatycznej i filmowej. U progu wieku XX Stanisław Wyspiański mocą swego intelektu i siłą swej poetyckiej wyobraźni wyraził oeny zawarte w obrazach — symbolach, do których sztuka polska powraca — zawsze wówczas, gdy wypowiedzi się o sprawach narodu, gdy walczy o jego naprawę. Spośród wszystkich istniejących w kulturze polskiej słów, rekwizytów, sytuacji i obrazów — symboli — „taniec chochoł” stanowi chyba symbol najwyrazistszy, będący częścią potocznej świadomości i zawsze na nowo poruszający sumienia.

FILMOWY TEATR WAJDY

Wiedomość o projektowanej przed Wajdą filmowej „inscenizacji” „Wesela” wzbudziła uczucia mieszane. Z jednej strony decyzja ta była jakby dopełnieniem jego dotychczasowych poczynań, a i o brak odwagi nikt Wajdę już pościć nie mógł, z drugiej — odważała się na to, co wcześniej przeliczyli twórcy „Wesela” i to, co odważa się do dzieła, wokół którego legenda i prawda zawsze walczyły o lepsze, dzieła o ogromnej teatralnej tradycji inscenizacyjnej i wreszcie utworu, który jako dramat poetycki, słowem poetyckim wypowiedziany zdawał się przeczyć możliwościom filmowego skonkretyzowania. I stała się rzecz dziwna. Wajda zawiódł oczekiwania, zawiódł „rebours”. Dyskusje, które wokół filmu się toczyły, dowiodły, że Wajdę ma się za złe to, co wcześniej przeliczyli twórcy „Wesela” i to, co odważa się do dzieła, wokół którego legenda i prawda zawsze walczyły o lepsze, dzieła o ogromnej teatralnej tradycji inscenizacyjnej i wreszcie utworu, który jako dramat poetycki, słowem poetyckim wypowiedziany zdawał się przeczyć możliwościom filmowego skonkretyzowania.

„Staralem się wniknąć w sytuację, w jakiej zrodziło się „Wesele”. A sytuacja była taka: gromada intelektualistów i artystów znalazła się w wiosce, położonej o kilka kilometrów od granicy, oddzielającej od siebie dwa imperia, okupujące nasz kraj; wszystko to działo się przed wielką wojną, w której dwa imperia miały rzucić się na siebie, a los kraju miał się rozstrzygnąć. W tę noc wesele jeszcze nikt o tym nie wie. Ale przeczuła dręczka, ale zjawy przeszłości nawiedzają wyobraźnię, ale dręczą wszystkich poczucie bezsilności, zdżone są, że na dalszy bieg historii narodowej nikt z myślących i działających wówczas ludzi nie mógł mieć wpływu. W obrazach, jakie proponuję, przypominam tę bliskość granicy i przyszłą wojnę, w której wigilie jawią się wesełom gościom historyczne i literackie widma”.

Wychy światłości, których szargać nie wolno. A tu figiel, psotał Wajda w pełnej współpracy z Kijowskim dal film, który bronil się swym ratio, jak chyba jeszcze nigdy w dotychczasowej twórczości tego reżysera. Nie znaczy to wcale, że zrobił swój największy film, Zrealizował, po prostu, jeszcze jedną inscenizację „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego (było ich od dnia premiery około 150), o tyle wzbudziła większe zainteresowanie, że inscenizacja filmowa. Tego jeszcze nikt nie próbował, co nie musi przecie oznaczać, że nie spróbuje. Każda inscenizacja musi iść w parze z interpretacją oryginalnego tekstu, były w teatralnych dziełach „Wesela” mniej lub bardziej poszukujące. Jednakże dla wielu, o czym zapomniać nie można, „Wesele” jest utworem znanym wyłącznie z lektury, a interpretacja jego — to interpretacja szkolna, że szkoły wyzniesiona i tak utrwalona. „Wesele” Andrzeja Wajdy ma w sobie właśnie coś z interpretacji szkolnej — w jakimś sensie klasycznej — niestety nie podważa, nie burzy, nie dopiśkuje, można mu więc zarzucić brak intelektualnego pozbawienia, przystojnego nowej próbie inscenizacyjnej, — tylko po co? Jest przecież film Kijowskiego i Wajdy tyle samo wierna, co oryginalna propozycja, iż niewątpliwie zaważy, i na to już nie ma rady, jeśli filmowe „Wesele” wejście na stałe do repertuaru lektur szkolnych, na pewnym nowym widzeniu również „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego.

To nowe jest wynikiem wyżej cytowanego założenia twórców filmowej adaptacji. W filmie Kijowskiego i Wajdy, którzy wyszli poza ślony broniowej chaty, zagrali kontekst historyczny, owel—nocy czarów i widów. Można uznać autorom zarzut, że czas historyczny nie wyprowadził, współczesny „naw” dystans i świadomość historyczna rzecz ta, sądzę jednak, usprawiedliwia. Ową nową filmową „Wesela” to również odwołanie soczystej rzeczywistości samej sytuacji weselnej i jej uczestników. Postacie „Wesela” zaczęły żyć inaczej w całym kontekście rodzajowego realizmu, którym Wajda nasył swój film. Zaważyła na tym pełna i konsekwentna, właśnie realistyczna argumentacja. Dla każdej sytuacji i każdego słowa dramatycznego tekstu odnajduje Wajda tłumaczący je i uzasadniający obraz filmowy. Popętnił przy tym niewątpliwie kilka pomysłów, należy do nich na pewno trudna do zaakceptowania scena „zeczania pod kosami”. No, co? może tylko zdumiewać, że tych pomysłów było tak niewiele właśnie u Wajdy, który rzadko swej wyobraźni narzucał dyscyplinę. Następna niespodzianką jest również próba racjonalnej argumentacji we wprowadzeniu w krwioobieg akcji postaci wizyjnych, poza zdecydowanie nieudanym epizodem Szeli i dyskusyjnym Hetmanem.

Najpełniej i najsilniej słowo wotni kina wykorzystal Wajda tam, gdzie może właśnie najmnie ich spodziewać się można było. Wydawały się bowiem tak oczywiste, że nie wyobrażalimy sobie, że mogą być tak piękne — myślę o pierwszej, realistycznej części dramatu, w której ów tłum wesełny i poszczególny jego figury przesuwają się w tanecznym korowodzie, tętniącym rytmem i układem ruchu, możliwym jedynie właśnie w kinie. W tym korowodzie prowadzi bohaterowie swe tak znane nam dialogi, wyrażają kwestie, które są własnością nas wszystkich, w ten korowód wchodzi zjawy, uzyskując w ten sposób walor projekcji świadomości i podświadomości ludzi, którym się ukazuje. Brzmienie słowa poetyckiego w adaptacyjnych skrótach Kijowskiego zachowuje swój walor i nie zatracia pierwotnych sensów. To jednak jest to, co znamy z naszych lektur, to co słyszeliśmy ze sceny, to jest to, co w kinie przyjąć możemy nie czyniąc gwałtu na jego naturze. Natura kina pozwoliła Wajdzie zastąpić słowo arsenałem znaczących rekwizytów, którego znów istnieją w obrazach Wajdy w sposób uzasadniony (wspomnijmy choćby owe obrazy, kosy i palety w stodole Gospodarza), pejzaże, postacie, sceny pozostające autonomicznie cytami młodopolskiego malarstwa, w całości opowieści funkcjonują integralnie.

„Wesele” Stanisława Wyspiańskiego czytane jest prywatną własnością każdego z nas, „Wesele” w teatrze, i dziś już w kinie, jest własnością inscenizatora, a aktora i nazaję przez ich spojżenie, ich konkretyzację słowa, sytuacji i gestu patrzymy na „Wesele” Wyspiańskiego. Propozycja Andrzeja Wajdy i Andrzeja Kijowskiego, Witolda Sobocińskiego i grupy najznakomitszych polskich aktorów stała się zatem nową własnością wspólną — tym trwałszą, że zapisana na stałe, w niej już nie można zmienić. Pozostaje jako zapis faktu artystycznego, więcej — kulturowego.

EWA NURCZYŃSKA

Tydzień jak tydzień TV

Ubiegły tydzień nie był bogaty w wydarzenia. Może to zbyt wygórowane żądania, ale prawdą jest, że zbyt rzadko stajemy wobec wydarzeń, o których się potem długo mówi i wspomina. Pozostaje więc tylko zwykła relacja, kilka uwag do sztabucha tych, którzy dyktują nam, jak mamy spędzić znaczną część czasu przeznaczoną na odpoczynek (?) naukę (?) rozrywkę (?) Każdy już indywidualnie musi to „przeznaczenie” wybrać dla siebie.

Studiując wcześniej program musiałem zaintrygować „Sumienie”, widowisko telewizyjne przygotowane (scenariusz i reżyseria) przez St. Brejdygantę na motywach z Dostojewskiego. Nadzieje nie potwierdziły się. Mimo udziału świetnych aktorów. W takich wypadkach mówi się, gdyby nie aktorzy... Tu jednak nawet Fijewski, Zaczek, Machowski niewiele pomogli. Widowisko było za długie, nużące, formalnie również niespójne, że sztucznymi efektami, które nie pomagały w przekazywaniu myśli Dostojewskiego.

We wtorek prawie nic. Wspomnę tylko o „Ex librisie” — magazynie książki, od dawna go wiernie oglądam. To wcale nie znaczy, że jestem nim zachwycony. Propozycje Jerzego Porębskiego są po prostu ważne, niezwykle potrzebne. Rekomendacja książki w TV może być zapewnić karierę bestsellera lub skazać na przemiał. Jeśli w dodatku robi to np. Stanisław Zieliński, autor mądrych i rozważnych „Wycieczek balonem”, sam fakt nabiera jeszcze większego znaczenia. Zastanawiam się w tym wypadku jedno: zasada doboru książek. Oczywiście to kwestia ocen subiektywnych. Wszyscy zgodzimy się, że powinny to być pozycje, z tych czy innych względów, godne prezentacji przed tak wielkim gremium. Ale zastanawiam się sprawa dość znamienita: nie pamiętam wypadku, by polecono nam książkę z wydawnictwa pozawarszawskiego. Myśle tu o Wydawnictwie Łódzkim, Lubelskim, Morskim, Wyd.

„Ślask”. Czyżby nie ukazywały się tam książki godne uwagi autorów „Ex librisu”?

W środę, ci którzy odbierają program nie bardzo mieli po co włączać telewizor. Ponieważ wcześniej obejrzeł: „Opowieści mojej żony” wg M. Żuławskiego z Kucówną i Hanuszkiewiczem. Sam pomysł przeniesienia tej pozycji do masowego programu pierwszego jest zupełnie dobrym posunięciem. Natomiast powtórzenie w drugim programie marnych widowisk sensoryjnych, jest chyba jakimś wielkim nieporozumieniem. Czegośmy się to bowiem nie nasłuchali o planowanym poziomie II programu. A teraz?

Maciej Z. Bordowicz nie ma do nas szczęścia. Niedawno Witok obśmiał go za napisanie bzdurnego kryminału. Teraz ten skądinąd uznany poeta, dramaturg i ambitny reżyser zaprezentował zenującą adaptację — „Tajemnice jeziora” wg Chandera. Teatr „Kobra” nigdy nas zbyt nie rozpieszczał, ale tak tandetnego widowiska dawno nie oglądałem. Szczerze wskiego był już szeryf, celnym strzałem wtrącający broń z ręki przestępca — noli cianta, którego przywołania prowadzi na manowce.

Na szczęście tego wieczoru był jeszcze Wierzytowo Uniwersytet dla Starszych Panów. I chociaż (nie moja to zasługa) nie zaliczam się do starszych panów obejrzałem z przyjemnością program przygotowany przez ośrodek sześcioletni „Kobietę lubią sprawić niespodzianki” wg Giovanniego Boccaccia był miła i sympatyczną niespodzianką. Ośrodek — wrocławski w piątkowym Teatrze Telewizji przedstawił nam „Zwyczajną historię” wg powieści Iwana Gonczarowa w adaptacji i reżyserii Lecha Komarnieckiego. Nie wiem czy reżyser ma zamiar przenieść na ekran cały, znany cykl powieściowy Gonczarowa? Wydaje się to raczej wątpliwe i stałbym raczej: dlaczego nie ukusił się o „Obłomowa”? Trudniejsza sprawa, na pewno, ale z

szansą na większy rezonans. „Obłomowska” to pojęcie niemal z codziennego języka, charakteryzujące znana postawę wobec życia. Kłopoty z adaptacją młodego, nalwnie romantycznego Adujewa, w środowisku w którym liczą się tylko pieniądze, zaszczyty i władza — są niczym innym jak niezbyt ciekawym anachronizmem. Uciekla z przedstawienia Komarnieckiego jakaś nawet nutka metafory i uogólnienia, którą można by odnieść do naszych czasów. Zostało tylko dość sprawnie opowiadanie, niezłe zagrane przez aktorów, z dobrą rolą Eljasza Kuziemskiego.

Niedziela była chyba najlepsza. Choćby pierwszy program z cyklu „W klubie”. Udany, chociaż z opiniami lepiej poczekać „Kobiety ich życia” ma już swoją renomę. Barbara Wachowicz trafiła tu w dziesiątkę. Tydzień temu Norwid, teraz Zygmun Krasicki. O ileż nam przybliżono postaci naszych wielkich poprzez ich miłość, zwierzenia, intymne listy. Nieznanych, a w sumie ważnych szczegółów, powiększyło naszą wiedzę o tych zamierzających czasach i żyjących nadal ludziach.

Nie obeszło się i w tę udaną niedzielę bez zgrzytów. Chciałbym usłyszeć argumenty układających program, którzy transmisję z festiwalu jazzu tradycyjnego nadal równocześnie z programem rozrywkowym „Próba próba”. Niejako „obowiązku” zostałem przy pierwszym programie. Niestety, tylko z obowiązku. Sympatyczni młodzi ludzie Kreczmar i Janczarski i reżyser J. Markuszewski wpaśli na pomysł stary, jak starym jest świat rozrywkowy. W porównaniu z wykonaniem, można by uznać ten pomysł, jeszcze za wcale dobry. Zawsze już tak wychodzi, że wszelkie niby — innowacje muszą być najstaranniej przygotowane i wyreżyserowane. Nie ma na to innej rady.

JAROSŁAW TARNO

Wychowywać i bawić

Przebieg II Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych ujawnił ogromny rozwój wszelkich form amatorskiego ruchu artystycznego. Z samych tylko łódzkich placówek włóknarskich w Festiwalu wzięło udział 1109 młodych ludzi, pracujących w 54 zespołach. Dodajmy, że nie są to pełne dane.

Starannie przygotowano się do festiwalowych bojów. Poszukano ciekawych pomysłów. Odbyły się przeglądy. Rozdano nagrody, gratulując zwycięzcom i pocieszając zwyciężonych. A potem przyszła „szara rzeczywistość”, bez festiwalowej gorączki. Warto więc przypatrzeć się niektórym problemom z tej rzeczywistości.

Na początek jedno zastrzeżenie. Oceniając amatorski ruch artystyczny nie można go oddzielić od całokształtu pracy kulturalno-oświatowej. Jest on jedną z form życia kulturalnego i to chyba nie najważniejszą. A u podstaw działalności domów kultury, klubów i świetlic leży też działalność wychowawcza. I dopiero w takim kontekście należało by spojrzeć na pracę amatorskich zespołów. Często zapomina się o tym.

Amatorskie zespoły artystyczne nie były, nie są i nie będą konkurentem dla zawodowych zespołów artystycznych. To właśnie poprzez uczestnictwo w pracy amatorskich zespołów teatral-

nych, tanecznych, muzycznych, plastycznych, filmowych itp. w placówkach kulturalno-oświatowych przygotowuje się przyszłych odbiorców teatru, filmu, plastyki. Nie tylko zresztą poprzez rozbudzanie zainteresowań kulturalnych, ale także poprzez pogłębianie wiadomości o owych dyscyplinach sztuki i kultury.

W Łodzi na przykład jest bardzo źle z bazą lokalową instytucji kulturalnych. Nie cęć tu przywoływać apokaliptycznej wizji walących się teatrów i kin, które na dobrą sprawę powinny być zamknięte 15—20 lat temu. Nie będę przypominał rejestru inwestycji kulturalnych, których nie zrealizowano. Wiemy jak jest. Ma być lepiej. W podobnych, a może nawet i gorszych warunkach pracują łódzkie domy kultury. W przeciagu ostatnich dziesięciu lat nie zbudowano ani jednego domu kultury z prawdziwego zdarzenia.

Trochę lepiej dzieje się w województwie łódzkim, gdzie wiosną ubiegłego roku od-

dano do użytku kutnowian nowoczesny i dobrze wyposażony dom kultury. Taki dom jest również w Radomsku.

W Łodzi sytuacja bez zmian. Ostatnio mówi się, a i często pisze o Domu Kultury ZPB im. J. Marchlewskiego. Pesymiści przypominają, że sprawa ciągnie się już od lat ośmiu. Optymiści powołują się na ostatnie ustalenia władz łódzkich, gdzie budowa tego domu kultury otrzymała priorytet w inwestycjach kulturalnych. Bądźmy optymistami, bo budowa tego domu kultury stała się rzeczą palącą, ponieważ ostatnia ekspertyza Biura Dokumentacji Technicznych Dowiodła, że pomieszczenie, w którym obecnie mieści się placówka kulturalno-oświatowa ZPB im. J. Marchlewskiego, grozi w każdej chwili zawaleniem. Smutna to rzecz, że jeden z największych zakładów branży bawełnianej zostać może bez domu kultury, mającego przecież długoletnie tradycje i spore osiągnięcia.

Inne łódzkie placówki kulturalno-oświatowe pracują w pomieszczeniach adaptowanych, zastępczych, w większości nieprzystosowanych do prowadzenia tego rodzaju działalności. Przykładem tego jest tutaj Zakła-

dowy Dom Kultury im. Sz. Harnama. Placówka ta, wielce zasłużona dla łódzkiej kultury, powinna już dawno otrzymać nowe pomieszczenie.

Oficjalnie kształceniem nowej kadry instruktorów zajmuje się Centralny Ośrodek Metodiki Uprawiania Kultury (COMUK) w Warszawie. Oficjalnie, ale nie masowo. Ciągłe odczuwamy brak doświadczenia, wysoko kwalifikowanych instruktorów artystycznych. Szczególnie ten brak odczuwają mniejsze ośrodki regionalne. W miastach wojewódzkich rozwiązują w jakimś stopniu ten problem absolwenci szkół muzycznych, plastycznych, teatralnych. Absolwent szkoły artystycznej, decydujący się na podjęcie pracy w ruchu amatorskim, nie cierpi na brak propozycji. Przeciwnie. Dobrego fachowca zauważą także i województwo. Stąd paradoksalna niekiedy sytuacja, że angażuje się instruktora do pracy w czterech, a nawet pięciu placówkach.

Bądźmy jednak sprawiedliwi. Nie są to częste przypadki, w dodatku znaczna część instruktorów przeszła do pracy w szkołach. Przyciągnęła ich tam podwyżka uposażeń i stabilizacja, o którą trudno w nerwowej,

przede wszystkim wieczorowej pracy w domach kultury.

Muszę przyznać, że z zażenowaniem oglądam te wszystkie popisy amatorskich piosenkarzy, którzy z mierzalnym skutkiem imitują rodzime gwiazdy piosenki. Niestety, zdarza się to zbyt często, aby pominąć milczeniem. Nie jestem przeciwnikiem piosenek Urszuli Sipińskiej, Zdzisławy Sońcickiej, czy Maryli Rodowicz. Chciałbym jednak obok tych piosenek usłyszeć coś nowego i oryginalnego. A właśnie z tym największym problemem. I to nie tylko z piosenkami, ale także z repertuarem teatralnym i muzycznym. To, co proponują wydawnictwa specjalistyczne jest, delikatnie mówiąc, nie najlepsze. Tym też tłumaczę sobie czerpanie ze źródeł folklorystycznych, łatwiej dostępnych i nie skazanych poprawianiem domorosłych „literatów” i „literaturonawców”.

Oczywiście, wybór repertuaru należy przede wszystkim do instruktora kierującego zespołem. A że można znaleźć coś interesującego i oryginalnego, niechaj zaświadczy ambitne „przedstawienie „Szkoły błaznów” w teatrze „Stu krzesel”.

Stąd też widzę potrzebę częstszych kontaktów między instruktorami artystycznymi, a także dobrze zorganizowanych kursów doszkolających. Pomocna byłaby

również ściślejsza niż dotąd współpraca domów kultury z zawodowymi placówkami. Oficjalnie zlecone instytucjom zawodowym patronat nad amatorskimi zespołami nie zdają egzaminu. Wiadomo, że kończą się one na kilku spotkaniach z reżyserem, kierownikiem literackim lub aktorem. Oczywiście, płatnych spotkań. Umiejtnie realizowana akcja patronacka mogłaby przynieść korzyści obydwóm stronom.

Jeszcze jeden problem wart podniesienia. Współpraca placówek kulturalno-oświatowych ze szkołami. Nie zawsze układa się ona pomyślnie. Zdarza się nawet, że dyrektorzy szkół zabraniają swoim uczniom uczęszczania na zajęcia do domu kultury. A szkoda! Dobrze przemyślana współpraca szkoły z placówką kulturalno-oświatową mogłaby przynieść ciekawe efekty wychowawcze. Szkoła nie trałaby z pola widzenia swoich uczniów po kończeniu dzwonku. Domy kultury miałyby możliwość kontynuowania pewnych działań wychowawczych.

Szansa jeszcze nie zrealityzowana, ale i nie zmarnowana.

MIROSLAW KUŹNIAK

(Dom Kultury ZPB im. J. Marchlewskiego)

TAJEMNICA BURSZTYNOWEJ KOMNATY

Słynna Bursztynowa Komnata... Najpierw była „bursztynowym gabinetem” króla pruskiego, Fryderyka Wilhelma I z zamku w Poczdamie. Gabinet, wykończony ostatecznie w 1709 roku przez architekta Andreego Schluetera i mistrza jubilerskiego G. Tusso, był ozdobiony 55 metrami kwadratowymi okładziny z bursztynu. Jej tło stanowiła polerowana mozaikowa płaszczyzna dekoracyjna, wyobrażająca pejzaże, herby, monogramy, muszle i ozdoby w kształcie girlandy. Owo paneau było inkrustowane miniaturami, wykonanymi z niewiarygodną wprost precyzją. Figurki były tak drobne, że można je było oglądać tylko przez szkło powiększające.

W 1716 roku król pruski odwiedził w Poczdamie car Piotr I. Bursztynowy gabinet wywarł na nim tak ogromne wrażenie, że Fryderyk dał mu go w podarunku. Rozebrano więc bursztynowe okładziny, zapakowano i przewieziono saniami do Petersburga. Początkowo umieszczono je w Pałacu Zimowym, później Elżbieta I kazała ozdobić nimi jedną z komnat w Carskim Siole — obecnie Puszkino. Rosjanie uznali ów „poemat w bursztynie” za ósmy cud świata. Komnaty pilnie strzeżono. Po Wielkiej Rewolucji Październikowej w 1917 roku Bursztynową Komnatę udostępniono zwiedzającym. Zachwycali się nią ludzie z całego świata.

W czerwcu 1941 roku z leningradzkiego Ermitażu ewakuowano około miliona bezcennych przedmiotów sztuki, wywołując je w bezpieczne miejsce na Uralu. Dyrektor Ermitażu, I. Orbelli, przygotowywał się do wyjazdu do Puszkino, żeby kierować ewakuacją najcenniejszych dzieł sztuki z Puszkino, a przede wszystkim Bursztynowej Komnaty. Niestety, wydarzenia wojenne pokrzyżowały to zamierzenie. A kiedy wojska radzieckie wypędziły hitlerowskie okupanty i zdobyły Puszkino w 1944 roku, arcydzieło to zniknęło. Z Carskiego Sioła pozostały jedynie szkielety wypalonych murów...

NA TROPIE

W 1949 roku rząd radziecki powołał specjalną komisję, której powierzono zadanie odnalezienia Bursztynowej Komnaty. Rozpoczęła ona swą trudną pracę od ustalenia okoliczności rabunku tego unikalnego dzieła sztuki, poczynając od września 1941 roku, to jest od początku blokady Leningradu. Przede wszystkim komisja przestudiowała dokładnie zeznanie niejakiego Foertera, byłego robotnika w tzw. „Einsatzstab Alfred Rosenberg”. Celem działania tej organizacji, powołanej przez Hitlera, była grabież i wywożenie cennych dzieł sztuki z terytoriów okupowanych. Foerster, który w 1944 roku dostał się do niewoli radzieckiej, zeznał, iż palec w Puszkino został zarekwirowany przez „batalion specjalny”, który zdemontował Bursztynową Komnatę. Rozbieranie ścian i sufitu z bursztynowej okładziny oraz pakowanie jej do specjalnych skrzyń trwa-

ło dwa dni. Następnie cenny ładunek załadowano na samochody i przewieziono do Królewca. Działo się to w początkach 1942 roku.

W Królewcu komisja radiologiczna skrupulatnie zbadała działalność Alfreda Rhode, ówczesnego dyrektora Muzeum pruskiego w Królewcu. Stwierdzono, iż Rhode umieścił zagrabione okładziny bursztynowe na trzecim piętrze zamku królewskiego, a następnie przystąpił do odstawiania białych gipsowych detali (części lustrzanych pilastrow i pozłacanych figur, zniszczonych lub zagubionych w czasie transportu do Królewca), według posiadanych zdjęć fotograficznych. Zmontowaną Bursztynową Komnatę obejrzał gauleiter Kox i kazał zamknąć ją na cztery spusty. Mieli do niej dostęp wyłącznie pracownicy muzeum.

W końcu 1943 roku Rhode zgromadził w zamku ogromny zbiór zagrabionych dzieł sztuki. Skarby kultury rosyjskiej przywiezione z Charkowa i Kijowa nie zostały nawet rozpakowane i leżały w skrzyniach. Wojeńskie „trofea” hitlerowskich nosicieli kultury zapelniały zamek od strychu aż do piwnicy.

Na szczęście koleje wojny pomieszały dalsze plany okupanta. Nad Wschodnimi Prusami zaczęły się pojawiać brytyjskie bombowce. Dwie czy trzy bomby spadły na zamek królewski. Rhode kazał rozebrać Bursztynową Komnatę i przenieść okładziny do piwnicy północnego skrzydła zamku, które uznał za najbardziej odporne na bomby alianckie.

(c.d.n.)

Oprac. J. CZECH

PLEBISCYT JESZCZE TRWA

W ostatnich czasach plebiscyty zrobiły światową karierę. Wybiera się nie tylko najgłośniejszych sportowców czy najpopularniejszych gwiazdy estrady i filmu, do czego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. W drodze głosowania można przecie ustalać także poczytność książek, autorytet zawodów, a nawet walory gastronomicznych receptur. To także dziś już nikogo nie dziwi.

Ale, gdy w roku 1968 po długich wahanach zdecydowaliśmy się ogłosić po raz pierwszy plebiscyt pn. „Lodzianie roku”, nikt z nas nie wierzył w jego powodzenie. Zdawało się, że w naszym mieście, gdzie powojenne migracje rozprosziły i zdominowały rdzennych lodzian, inicjatywa tego rodzaju przejdzie niezauważona. A przecie ta niewiara podziła była jednocześnie najwyższą treścią. Zastanawialiśmy się, czy spośród tysięcy zasłużonych lodzian, tych z urodzenia i tych z wyboru, potrafimy zestawie dostatecznie reprezentatywną listę kandydatów pretendujących do miana człowieka roku. Czy nie będzie na niej ważących pominięć? Czy z pewnością potrafimy, a nawet, czy jest to możliwe, jak słusznie zauważa w liście jeden z czytelników „prezleciwstawić sobie: poświęcenie z jednej strony, a duży wkład pracy z drugiej”. Bo tam, gdzie preferencje się różnią, a przecie zawsze społecznie wartościowe postawy, wybór jednej z nich nie jest decyzją łatwą. Potwierdziła to dotychczasowy przebieg naszych plebiscytów, których zwycięzcami byli lodzianie różnych generacji i różnych profesji, od ekspedientki z narażeniem życia ratującej społeczne mienie po solistkę Teatru Wielkiego, która rozstawiła sztukę polską na scenach operowych całego świata.

Ale dziś nie towarzyszą nam już obawy o okresu startu, plebiscyt przyjął się w naszym mieście i album z portretami laureatów posiada wiele wspaniałych kart. A przecie także ci, co nie zostali zwycięzcami otrzymując nieznacznie mniejszą ilość głosów, mają najautentyczniejsze łódzkie rodowody i nie mniejsze zasługi dla miasta.

Kto zwyciężył w tegorocznym, piątym już z kolei, a więc bez mała jubileuszowym plebiscycie? Co dzień poczta przynosi nam nowe kupony z głosami czytelników, toteż sytuacja zmienia się jak w kalejdoskopie i doprawdy trudno przewidzieć zwycięzców. Pan Klemens Nowak w następnym do nas liście wszystkich kandydatów ubiegających się o zaszczytny tytuł lodzianina roku przyrównuje do świata, ale ma jednocześnie swoich ulubieńców, których, jak pisze, „należałoby nazwać światłem promieniującym lub słońcem naszej biednej Łodzi. Ludzie ci są bez reszty oddani sprawie naszego miasta, gdzie swą działalnością wywierają bezpośredni wpływ na kulturę i strukturę, uniezależniając się od „zachłannej” stolicy”. Największą sympatią naszego czytelnika cieszą się: prof. dr Stefania Skwarczyńska, literat — Leon Gomolicki oraz prof. dr Jerzy Werner.

„Zaznaczam — kończy p. Nowak — że wymienione osoby na przestrzeni tylu lat nie uległy złudnemu śniegowemu syreny, jak Dejmek, czy ci z „transportu”, którzy chcieli przenieść nawet szkołę filmową do „samolubów” — lecz tkwili mocno na tym gruncie, doprowadzając Łódź do równorzędności partnera w stosunku do innych miast”.

Za kandydatką Stefani Skwarczyńskiej wypowiada się także p. Jadwiga Ossowska, ale zauważa jednocześnie „aktera łódzkiego Bogusława Sochnackiego, którego znam od dawna ze sceny. Zawsze był przystojny i pięknie grał amanta. A co najważniejsze — to w grze swojej zawsze sięgał do głębokich podstaw swego trudnego zawodu”.

Na uznanie p. Ossowskiej zasłużył sobie także Leszek Różga, o którym pisze: „Prace jego są pełne wartości estetycznej. Pobudza widza do refleksji, czasem do głębokiej zadumy. Oglądałem jego prace na wystawach i w Muzeum. Wiedziałem w nich wiele myśli filozoficznych. A zawsze człowieka. To szlachetny i zdolny twórca”.

Inny czytelnik opowiada się za Zofią Mitukiewicz: „Wspaniała kobieta, bardzo troskliwie opiekuje się dziećmi. Szlachetna, pełna poświęcenia i ogromna dobroć w niesieniu pomocy tym małym sierotom”.

Jednym z faworytów pani Heleny Pabjan jest Ryszard Stanisławski, którego cenę „za upór i wytrwałość w walce o nowy gmach dla Muzeum Sztuki”. Inny czytelnik (niestety, nazwisko trudno do odczytania) dodaje: „Nie zawahałbym się stwierdzić, że jest to człowiek, który pragnie „Kopciuszkę”, jakim jest Łódź pod względem kulturalnym w stosunku do innych miast, wynieść na wyższy poziom”.

Kazimiera Wiśniewska typuje trenera LKS Pawła Kowalskiego, produkującego robotnika Zdzisława Wyrzykowskiego oraz architekta Aleksandra Zwierko.

„Wszyscy oni zasłużyli w moich oczach na najwyższe uznanie. Są ludźmi młodymi, a tyle już przecie dokonali.” — napisała w liście do redakcji.

Nasz plebiscyt trwa. Każdy z was może osobiście zdecydować o tym, kto zostanie Lodzianinem 1972 r. Wystarczy nadesłać do naszej redakcji kupon plebiscytowy zakreślając na nim swoje kandydatury. A na głosujących, przypomnijmy czekają do rozlosowania wartościowe nagrody: tranzystorowy radiolodbiornik, aparat fotograficzny i zegarek na rękę.

LODZIANIE 1972 (KUPON PLEBISCYTOWY)

1. Leon Gomolicki	_____
2. Paweł Kowalski	_____
3. Zofia Mitukiewicz	_____
4. Leszek Różga	_____
5. Stefania Skwarczyńska	_____
6. Bogusław Sochnacki	_____
7. Ryszard Stanisławski	_____
8. Jerzy Werner	_____
9. Zdzisław Wyrzykowski	_____
10. Aleksander Zwierko	_____

Nazwisko i imię : : : : :
Adres : : : : :
Zawód : : : : :

tantem jest Monet, otrzymuje dopiero teraz swą nazwę. Bo oto jeden ze złośliwych krytyków, nadając malarzom wyznającym podobne zasady co Monet, ironiczną i pejoratywną, według mniemania owego krytyka, nazwę — impresjonistów. Wbrew intencji złośliwego krytyka, staje się to celem i bynajmniej nie ironicznym określeniem tej wkrótce słynnej i cenionej szkoły malarskiej.

W miarę upływu lat w losie Monet następuje poprawa. Jego płótna są coraz częściej kupowane, malarz zaczyna zyskiwać sławę. I kiedy osiada ze swą drugą żoną w Giverny otrzymuje wiele zamówień, staje się nie tylko znany, ale i bogaty. WGiverny zakłada wspaniały ogród, tworzy jakby wielkie atelier malarskie pod gołym niebem. Maluje teraz całymi dniami w swym ogrodzie starając się utrwalić na płótnie szybko przemijające, zmieniające się w ciągu dnia, odcienie barwne kwiatów, wody, drzew, powietrza.

Ale ok. 1912 roku zaczyna chorować na oczy. Dla malarza i to tak rozmiłowanego w barwach, subtelnych odcieniach, rozbiyskach światła jest to tragedia. Monet nie rezygnuje z pracy, choć w ciągu kilkunastu lat choroba się pogłębia i malarz jest już prawie ślepy. Z tych lat w Giverny pozostała m. in. seria obrazów zatytułowanych „Nymphéas” (Nenufary). Charakterystyka one nowy etap w malarstwie Monet. Są to obrazy przypominające późniejsze dzieła abstrakcjonistów. Alfred Baar, amerykański krytyk wyraził przypuszczenie, że być może choroba oczu Monet była jednym z przyczyn powstania nowego kierunku w sztuce — malarstwa informel.

Po ledzianstwie latach choroby lekarze usuwają Monetowi kataraktę z oczu, przywracając mu wzrok. Claude Monet umiera w roku 1926 w pełni sławy i uznania. Jego twórczość do dziś ma wielu zwolenników i wciąż budzi nowe zainteresowanie, a jego obrazy bezustannie zyskują na aukcjach.

W roku 1872 Monet maluje obraz bardzo typowy dla jego twórczości i daje mu tytuł: „Impresja — wschódzające słońce”. Płótno jest zatycie atakowane przez krytykę. Natomiast cały kierunek malarski, którego represen-

JANUSZ SKOSKIEWICZ

Skarby ze spichrza

W roku 1966 świat artystyczny we Francji przeżył nie lada sensację. Oto w starym spichrzu w Giverny odnaleziono 92 bezcenne obrazy. Były to płótna Moneta i kilku jego przyjaciół, wybitnych malarzy. Wartość tego znaleziska oceniano na dziesiątki, jeśli nie setki milionów franków. Jak doszło do tego niezwykłego odkrycia, skąd wzięły się obrazy w starym spichrzu na zboże?

Otóż w dniu 8 marca 1966 roku zginął w wypadku samochodowym Michel-Jacques, syn wielkiego malarza impresjonisty, Claude Moneta. Kiedy otwarto testament okazało się, że Michel-Jacques posiadał wiele obrazów, które zapisał muzeum Marmottan.

Przy realizacji postanowień testamentowych przekonano się z ogromnym zdumieniem, że owe skarby sztuki nie były zabezpieczone ani w żadnym banku, ani w innym jakimś pewnym ukryciu, lecz pozostawały od wielu wielu lat w niestrzeżonym i łatwo dostępnym dla złodzieja, spichrzu zbożowym. Eksperti nie mogli ochnąć ze zdumienia, że obrazy zarówno samego Moneta, jak i znanych malarzy: Renoira, Signaca, Seurata nie zostały ukradzione. Natychmiast w oknach budynku założono kraty i postawiono mocne warty.

Półtora roku temu płótna zostały przeniesione do specjalnie w tym celu urządzonej sali muzeum, gdzie ostatecznie w grudniu otwarto paryską ich wystawę. Większość płócien Moneta pochodzi z lat 1907—1923, ale najciekawsze, dla wielu nawet wybitnych znawców sztuki, to rysunki Moneta, portrety, czy karykatury profesorów i kolegów malarza z okresu jego młodości. Jak dotąd Monet, jako rysownik, pozostawał niemal nieznanym.

Krytyka zawsze zarzucała impresjonistom, że niedoceniali rysunku. Okazuje się teraz, że Monet, ten najbardziej impresjonistyczny z impresjonistów był doskonałym i dowie-

nym rysownikiem. Od rysunków właśnie zaczęła się artystyczna kariera młodego Oscara Moneta. Piszemy Oscara, bo tak go, tym drugim jego imieniem nazywali rodzice i on tak właśnie podpisywał w młodości swe rysunki. Dopiero później znany będzie jako Claude Monet.

Claude Oscar Monet urodził się w Paryżu w roku 1840. Wkrótce jego rodzice przenoszą się do Hawru. I tutaj to Claude Oscar spędza dzieciństwo i pierwsze lata młodości. W tym to czasie z zamiłowaniem rysuje portrety z natury i z fotografią Nadara, robi karykatury swych nauczycieli i kolegów. Gdy ma lat piętnaście znany jest w Hawrze, jako wprawny rysownik. Sprzedaje swe dzieła po 20 franków za sztukę. Czasem wystawia swoje rysunki w małym sklepiku, w którym sprzedają ramy do obrazów. Tam spotyka Eugène Boudina, który prowadząc ów sklepik poznał malarzy Milleta i Troyona, i tak się zapalił do malarstwa, że sam chył się za pędzel, ucząc się sukcesy i uznania. Starszy od Moneta o szesnaście lat, dzisiaj określany jako prekursor impresjonizmu, Boudin udzielał młodemu koledecie wielu rad, a sam będąc zwolennikiem malowania pod gołym niebem, namawiał go do malowania w plenerze.

Młody Monet postanawiając zostać malarzem opuszcza Hawrę wyjeżdżając na studia artystyczne do Paryża. Przerwy mu je służba wojskowa, a następnie choroba. Wracając do Hawru, ale wkrótce znów jest w Paryżu pracując w atelier Gleyre'a. Tu w stolicy Francji poznaje i zaprzyjaźnia się z wielu wybitnymi artystami swej epoki, takimi, jak Renoir, Sisley czy Bazille. Wkrótce malowanie w plenerze, tak ulubione przez impresjonistów staje się głównym rodzajem twórczości Moneta.

W roku 1865 Monet, jest w Chailly, gdzie pracuje nad wielkim obrazem pt. „Śniada-

SCHEMATY DAWNE I NOWE CZASY

Z uwagą śledzą na łamach prasy echa jednej z najciekawszych toczących się obecnie dyskusji, jaka rozwija się od kilku już lat między uczonymi polskimi a historykami z Niemieckiej Republiki Federalnej w sprawie treści szkolnego nauczania historii, w szczególności zaś sposobów ujmowania problematyki polskiej w podręcznikach historycznych, wykorzystywanych w szkołach NRF. Z tego, co dotąd o niej wiadomo — a dyskusja ta częściej jest omawiana na łamach wydawnictw fachowych, niż prasy codziennej — wynika jasno, że dobra atmosfera obrad, będąca wynikiem przemian politycznych, jakie nastąpiły w ostatnim okresie czasu w stosunkach między obu krajami, oddziaływanie sprzyjające na owocność dyskusji, ale ponieważ najważniejsze problemy nie należą do łatwych, trudno rokować, aby zbyt wcześnie dało się uzyskać pełne, zadowalające obie strony rezultaty. Idzie tu bowiem o sprawę niebiałą, o weryfikację stereotypów myślowych utrwalonych przez

wieloletnie powtarzanie, o poddanie kontroli historycznych sądów zakorzenionych głęboko w świadomości zachodniemieckiego społeczeństwa.

Nie trzeba być socjologiem aby dostrzec, że treści historyczne funkcjonujące w społecznej świadomości wielce różnią się od tych, które stanowią zawartość poważnych dzieł historycznych i że zagadnienie naukowości myślenia o przeszłości, oparcia jego o naukowo uzasadnioną argumentację, nie da się sprowadzić jedynie do tego, co zwie się popularyzacją historii. Mechanizmy społeczne są tu bardziej złożone, oddziaływanie na nie niezmiernie utrudnione. Dlatego też w pierwszym rzędzie zwraca się uwagę na treści nauczania historii w szkole, bowiem ono właśnie, w większej mierze niż naukowe, adresowana do zainteresowanych i specjalistów historiografia, kształtuje zrab historycznej świadomości człowieka, oczywista w bezu-

stannej konfrontacji z innymi, oddziaływanymi na nią czynnikami.

Kiedy uświadamiam sobie, jakie niemieckie schematy interpretacji przeszłości najbardziej drażnią polskiego czytelnika, zdaję sobie sprawę nie tylko z ich aktualności, lecz także z dawności. Niejednokrotnie zarówno w dziewiętnastym, jak i w naszym stuleciu polska nauka i publicystyka historyczna podejmowały spór z niemiecką i znany to stosunkowo dobrze, zwłaszcza na odcinku kontrowersji, jakie rozwijały się bezpośrednio przed i po drugiej wojnie światowej.

Czy jednak zawsze zdajemy sobie sprawę z tego, że jakże często stanowią one tylko reaktualizację sporów o wiele dawniejszych, i — co być może wydaje się na pierwszy rzut oka bardzo dziwne — często bardzo mało wychodzą poza zakreślone niegdyś ramy. Jeżeli nie liczyć najdawniejszych, jeszcze średniowiecznych sporów polsko-krzyżackich, w których gęsto powoływano się na argumenty z historii, pierwsza w szerszej skali konfrontacja historycznych racji polskich i niemieckich nastąpiła w okresie pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej.

Wówczas to pruski minister stanu a jednocześnie członek Berlińskiej Akademii Nauk hrabia Ewald Fryderyk von Hertzberg w obszernych memoriałach dał wykład „praw” Fryderyka II do ziem polskich, objęcie posługując się argumentacją

historyczną, zaś w innych swoich pismach rozwijał szerzej te wywody, zmierzając do uzasadnienia poglądu, że ziemie od Wisły do Renu są prakolebką wszystkich ludów germańskich, zaś Słowianie, wśród nich zaś Polacy, są intruzami, którzy przybyli gdzieś ze wschodu na terytoria opuszczone przez Germanów, którzy wyruszyli na podbój cesarstwa rzymskiego. Nawet dla mnie było zaskoczeniem, że teoria rozwijana przez pruskiego ministra — historyka, znanego ze swojej niechęci do Polaków, niewątpliwie instrumentalna w stosunku do polityki dworu pruskiego, tak bardzo przypomina późniejsze o sto kilkadziesiąt lat wywody niemieckich archeologów, historyków i publicystów, znane nam zwłaszcza z lat trzydziestych i czterdziestych XX wieku.

Ale przecież nie tylko o tę teorię tutaj chodzi: hr. Hertzberg sformułował właściwie wszystko, co później rozwinięta niemiecka nacjonalistyczna historiografia: i uzasadnienie niemieckich praw do całego Pomorza, do Gdańska i wiele innych, w tym również do teorytorium, które w krótkim okresie po 1939 r. będzie nosiło oficjalną nazwę „Kraju Warty”. Czyżby wywody uczonoego hrabiego oddziaływały tak zaplanująco na późniejszych autorów? Ależ, nie, mało kto je w ogóle znał. Po prostu odzwierciedlały one sposób historycznego myślenia kręgów junkierskich w Prusach, starały mu się nadać rangę naukowości, a właśnie one oddziaływały inspirująco na późniejszy bieg niemieckiej myśli historycznej...

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



Nie tylko zaborecy, w szczególności Austria i Prusy, oczekali się wówczas, przed dwustu laty, do historycznego uzasadnienia własnych politycznych racji. Podobnie, chociaż z o wiele mniej korzystnej pozycji, starała się to czynić strona polska. Z inspiracji Stanisława Augusta podjął się tego dzieła Feliks Łojko. Warto przypomnieć zarówno jego sylwetkę, jak dzieło, warto upomnieć się o należne mu miejsce w dziejach polskiej myśli prawniczej i historycznej. Ale jego wywody, aczkolwiek stojące na najwyższym naukowym po-

ziomie, nie mogły odwrócić biegu wypadków politycznych. Anonimowy polski publicysta z 1788 roku pisał:

„Wykłady dworów i odpowiedzi ze strony polskiej wiedzieć można jeszcze w wielu domach zachowane, z których osobliwie odpowiedź może przyjdzie czas, że więcej przekonywać będą aniżeli w roku 1772, kiedy tłumacze pism zbrojni długiej, a upartej zapobiegli dyscepcacji”.

LEKTOR

Zdarzeni A · I · Z wierzeni A

TAMTEN STYCZEŃ

„Łódź — dymiąca Ateny” — tak nazwał ktoś to miasto w styczniu 1945 r. O tamnym styczniu napisał po latach Jan Huszcza w znanym wierszu:

„Tamtego roku mroźny styczeń obrastał czołgi szczeni szronu...”

Ale dziś tamten styczeń obrasta już legendą i historią. Obrasta wspomnieniami, książkami o tamtych

dniach. Dla Łodzi to nie było tylko wyzwolenie. To były narodziny miasta. Zupełnie innego i zupełnie nowego, choć mamy do dziś tę samą Piotrkowską i mamy jeszcze blisko 1000 strzechą krytych chat.

Pierwszego września 1939 roku Łódź liczyła 800 tysięcy mieszkańców. Dziewiętnastego stycznia 1945 roku Łódź liczyła 300 tysięcy mieszkańców. Rozwiał się

rozplynęło, splonęło i uciekło pół miliona ludzi. Dziewiętnastego stycznia 1945 roku Łódź urodziła się na nowo. W najbliższych jedenastu miesiącach miasto urasta znów do pół miliona. 200 tysięcy ludzi przybywa tu „z błękitnego nieba” roku! Rodzi się nowe miasto.

Przybywali tu ze wszystkich stron. Wracali wysłani przez okupanta „na roboty” łodzianie z przedmieść. Zaludniali opuszczone przez Niemców śródmieście przybysze z całego kraju. „Ten chłopiec, który dopiero co wygramolił się z węglarki, zdziwiony i brudny” — jak wspomina Wiktor Woroszyński. „W szalejącej zadymce śnieżnej wysiadłem na ulicy Piotrkowskiej z ciężarówką „Cytelnika” — jak wspomina prof. Józef Chałasiński.

Przybywali nie wiedząc, że tworzą nową strukturę miasta, że ich praca, ich obecność złoży się po latach na kształt Nowej Łodzi. Przybywali do miasta doświadczony ciężko, choć — jak na ironię — wojna oszczędziła stare, strupiejsze mury. Nie oszczędziła jednak ludzi. Zagłada getta i zagłada Radogoszcza, wywózka robotników do niewolniczej pracy w Rzeszy, wywózka do obozów, eksterminacja inteligencji...

Niewiele pamiętam z tamtych dni styczniowych. Bezustanny turkot wózków uciekającej armii... A potem plonące nad miastem „choinki”, zrucane z samolotów na zrujnowane miasto... Dwunastego stycznia ofensywa radziecka gwałtownie ruszyła. Na ulicach pojawiły się tłumy uciekających — cywilnych i woj-

skowych. Na pięć dni przed wyzwoleniem miasta „Litzmannstädter Zeitung” podała wiadomość o ciężkich walkach... na wschodzie. Ale wtedy słychać już było glucho dudnienie artylerii.

Rozpoczęła się ewakuacja urzędów, rozpoczęła się mobilizacja volkssturmu. W nocy z 14 na 15 stycznia przerwana została łączność telefoniczna z Rzeszą i Generalną Gubernią. Zagony pancerne Pierwszego Frontu Białoruskiego rozbiły obronę linii Pilicy. Od Kielce zbliżyła się do Łodzi oddziały Pierwszego Frontu Białoruskiego.

Na trzy dni przed wyzwoleniem miasta opuściło Łódź 20 tysięcy przedstawicieli „herrenvolku”. Na dwa dni przed wyzwoleniem rozpoczęła się paniczna ucieczka. Stały fabryki.

W piątek, 19 stycznia

1945 roku w południe radzieckie czołgi wjechały do miasta od strony Zgierza. Nie było kwiatów — był śnieg i mróz, ludzie wyciągali ręce, aby dotknąć stal czołgów, aby uścisnąć dłoń żołnierzy w burczy szynelach. Taki obraz przekazał nam operator radzieckich czołgów filmowej. Wyciągnięte dlonie i masywy jadących czołgów... Czołgi jechały dalej...

Pisał poeta:

„I była radość na obliczach gdy szły na zachód rozpędzone...”

W śnieg i mróz, w wyciu silników, w nieskrywanym izach radości Łódź narodziła się po raz drugi.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

ŻEBY W GŁOWIE PSTRYKNĘŁO

Są takie sztuki teatralne i filmy, w których człowiek nie może się bawić, czeka co będzie dalej, potem wychodzi na ulicę i nie pamięta ani krztyny, po prostu nie ma czym sobie głowy zwracać.

Są też sztuki i filmy, które „dają do myślenia”. Na przykład „Kotka na rozpalonym blaszanym dachu” Tennessee Williamsa. Myśli się, myśli — i do żadnych wniosków dojść nie sposób.

O co właściwie autorowi tej świetnej sztuki chodziło? Której z osób powinienem przyznać rację, z którą sympatyzować? Chyba z żadną! Nikt nie ma racji. Według Hebbela tragedia zaczyna się tam, gdzie wszyscy mają rację. Takich dzieł sztuki, przepelnionych zrozumieniem wszystkim i wszystkim, a więc i wybaczącymi wszystkim każdemu, mamy niemało, często są

rzeczywiście tragiczne. „Kotka” nie jest tragiczna, ani antytragiczna. Jest prowokująca, ale nie wiadomo do czego.

Stary milioner krzyczy rozpaczliwie, że wszyscy wokół kłamią. Kłamy!! — wrzeszczy w stronę kulis, a widownia bierze to do siebie. Okłamali go mianowicie, fałszując wyniki analiz lekarskich i zatając przed nim fakt, że jest chory na raka i musi umrzeć. Czy takim litosiernym i powściągliwym aprobante klamstwem mamy ilustrować „zakłamanie” świata?

Zona zaplącanego i niecałkiem w erotycznych sprawach normalnego syna milionera przez trzy akty postępuje na całą jego rodzinę, a zwłaszcza na wieloletniego zwagrawa, że intrygami, zażeganiami, szalbierstwem dążą do zawładnięcia majątkiem starego i do wydziedziczenia jej samej, takiej zakochanej w swym piącejacynie. Ale właśnie ona jest tu najsprytniejszą intrygantką i wszystko, co robi na celu osiągnięcie

tego samego majątku i wykiwnie szwagrowstwa z ich sześciorogiem kretyńniętem. A już mieliśmy ohojętę opowiedzieć się po ich stronie, zwłaszcza że chodzi po scenie w koszulce, nie dba, że ludzie patrzą — i to jest najmocniejszy, afiszowy a tutaj całej sztuki... Później „kotka” buja nagle starego teścia, że jest w ciąży, nikt już nie krzyczy — „klamy”, „klamy”, gruba forsa błyska przed oczami psychopaty, kochanego tak bardzo przez tatę, mamę i żonę i znów nie wiemy, co o kim sądzić.

Przedziwna sztuka. Po całym świecie grana, dała autorowi nielichy majątek i sławę, a jednocześnie najgłębszą krytykę piszą o niej (a program Teatru Powszechnego opinie te cytuję, co jest jeszcze jednym powodem do zdziwienia): „Sztuka ta wznosiła i płaska, głupia i chorobliwa, drugocęca i banalna”, „z jej hojne rozsiwaniami, a robiącymi kase sprośnościami, z jej sztucznymi sytuacjami, sztuczną głębią, jednym słowem z ca-

łym jej naciągany dramatem”. Piszcie się o tej sztuce i tak: „Hamlet pozbawiony zawartej w nim poezji byłby plugawą szmirą”. Otóż „Kotka na rozpalonym blaszanym dachu” pozbawiona jest poezji! Znaczy to oczywiście, że „Kotka” jest „plugawą szmirą”. A przecież jest przy tym wszystkim naprawdę sztuką, „dającą do myślenia”. Co za nietypowy przypadek!

Skoro więc żadna z postaci nie ma racji, to może wszystkie razem sugerują jakieś wnioski widzów? Owszem. Dla mnie te wnioski są takie: — Można być wykołofieńcem, alkoholikiem, nierobem, homoseksualistą, płaczącym zgrzywusem, a mimo to cieszyć się wielkim oddaniem ładnej, mądrej dziewczyny i niesprawiedliwą miłością rodziców, trzeba tylko udawać nadwrażliwego pieknoducha, złamanego brutalnością świata i ludzi.

— Jak się przekroczyło sześćdziesiątkę, a posiada się wielki majątek, to wie się oczywiście, że wszyscy ostrzą sobie na ten majątek pazury i czekają aż się wykluje. Lepiej więc nie mieć majątku.

— Nikt nikogo w gruncie rzeczy nie znosi. Stare żony lubią się wygłupiać i ośmieszają. Młode matki irytują wszystkich natrętną reklamacją swego potomstwa i zmuszaniem do kochania nieznośnych małatków. Szwagrowie podglądają szwagrow w małżeńskich sypialniach.

— Dobrze jest się urządzić, żeby w głowie pstryknęło. Urzędnicy bzdury powszechną sympatię obcych ludzi (widowni).

— Taką właśnie „plugawą szmirą” jest życie. Tym się tylko pocieszymy, że można napisać taką sztukę i żyć potem nie już prawie nie robiąc. Sztuce, po której widz może sobie powiedzieć: żyć jednak jest nie tylko takie!

ĆWIEK